

Karen van Der Zee

Przygoda w tropikach

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sasha rozejrzała się po hali przylotów, nie wypuszczając przy tym z rąk swego bagażu - torby i walizki. Mimo podniecenia i zmęczenia podróżą czuła się lekko i radośnie. A więc udało się! Stała na kontynencie afrykańskim. Tuż za wyjściem z lotniska czekała ją przygoda; nie wątpiła, że tak właśnie miało być.

Natychmiast rzuciła jej się w oczy postać wysokiego czarnowłosego mężczyzny stojącego po drugiej stronie hali; zdecydowanie odróżniał się od tłumu Afrykańczyków w jaskrawych, egzotycznych strojach. Miał na sobie szorty khaki, koszulę z krótkimi rękawami i mocno sfatygowany kapelusz. Widać było wyraźnie, że przeszedł już w tym ubraniu niejedno i na pewno nie był turystą, który wystroił się tak w jakimś nowojorskim sklepie dla podróżników przed wyjazdem na safari.

Ona zresztą też zwracała uwagę: wysoka biała kobieta w krótkiej dzinsowej spódniczce.

Mężczyzna był szeroki w barach, postawny i muskularny, wyglądał jak wyjęty z filmu przygodowego.

Mógł być, na przykład, podróżnikiem, białym myśliwym czy może antropologiem badającym zwyczajnie ślubne tutejszych plemion.

Nawet z daleka widziała, że wyraz twarzy miał nieprzyjemny, jakby zupełnie go nie obchodziło, co ludzie o nim pomyślą, i jakby nikt nie był mu potrzebny. Odludek i samotnik.

Sasha uśmiechnęła się do swoich myśli i przez chwilę przyglądała się wesołemu, różnobarwnemu tłumowi, który ją otaczał; potem znowu skierowała wzrok na stojącego samotnie mężczyznę.

Był on tu jedynym białym i najwyraźniej na kogoś czekał. Czyżby to był Ross Grant? Ta myśl wprowadziła ją w

podniecenie. Na parę godzin przed odlotem z Nowego Jorku otrzymała bowiem od Vicky telegram następującej treści:

ROSS ODBIERZE CIĘ Z LOTNISKA W AKRZE STOP
NIE PODRÓŻUJ SAMA STOP DO ZOBACZENIA STOP
VICKY

Ross to znaczy Ross Grant, jeden z dwóch lekarzy pracujących w szpitaliku w Obalabi na północy Ghany, gdzie jej siostrzenica Vicky była instruktorką pielęgniarek. Telegram nie zawierał żadnej informacji co do tego, jak Ross wygląda.

Mężczyzna o filmowym wyglądzie zupełnie nie przypominał lekarza; przynajmniej żadnego z tych, z którymi się dotąd stykała - chłodnych osobników w białych fartuchach, prowadzących z pacjentami zdawkowe rozmowy. On nie wyglądał na kogoś, kto traciłby czas na jakąkolwiek zdawkową wymianę zdań.

Może więc jednak nie był to wcale Ross Grant, a jakiś awanturnik o ciemnej przeszłości, do której nie chciał się nikomu przyznawać. Pewnie nie było już dla niego miejsca w społeczeństwie i skazany był na wegetację w afrykańskim buszu. Tylko co w takim razie robił tu na lotnisku?

Wychudzony kilkunastoletni chłopiec złapał jej walizkę.

- Ja pani pomóc - oświadczył z promiennym uśmiechem, który miał Saszę oczarować i rzeczywiście oczarował. Poza tym potrzebowała pomocy; walizka była naprawdę ciężka. Chłopak jednak podniósł ją bez wysiłku i poszedł w kierunku wyjścia, nie pozostawiało jej więc nic innego, jak pójść za nim.

Przecisnąć się przez skłębiony dum wcale nie było łatwo, tubylcy mieli masę koszyków, pudełek i paczek, Sasha i jej przewodnik płynęli więc z prądem, co oznaczało, że przesuwali się do wyjścia bardzo powoli.

Zresztą nigdzie jej się nie śpieszyło. Poprawiła włosy, które wymykały się spod kapelusza. Był to wzruszająco

staroświecki kapelusz z szerokim rondem i szkarłatną różyczką. Tu, pod afrykańskim słońcem, był koniecznie potrzebny, jej ognistorudym włosom towarzyszyła bowiem, co naturalne, szczególnie wrażliwa cera.

Wreszcie wydostali się z największego tłumu. Tymczasem tamten mężczyzna wciąż jakby na kogoś czekał; kiedy w pewnej chwili wzrok jego padł na Saszę, gwałtownie ruszył z miejsca i wielkimi krokami zaczął iść w jej stronę. Serce zabiło jej gwałtownie.

- Czy pani na kogoś czeka? - zapytał podchodząc. Z mocno opalonej twarzy o twardych rysach patrzyły ciemne, piwne oczy.

A więc musiał to być ten znakomity doktor; Sasha obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Tak, rzeczywiście czekam - powiedziała. - Miałam spotkać się tu z doktorem Rossem Grantem.

Najwyraźniej coś mu w tej odpowiedzi nie pasowało, bo popatrzył na nią, jakby widział zjawę. Jej kapelusz był może trochę ekstrawagancki, ale przecież nie wywołałby chyba aż takiej reakcji?

- Pani nie jest ciotką Vicky - wycedził wreszcie, unosząc jedną brew.

- Do tej pory zdawało mi się, że jestem - wybuchnęła śmiechem.

Poczuła, że ten mężczyzna zaczyna wzbudzać w niej pewne zainteresowanie. Z bliska okazał się jeszcze wyższy, niż jej się przedtem zdawało. Kiedy zdjął kapelusz, zobaczyła, że ma czarne włosy zdecydowanie domagające się strzyżenia. Wyglądało na to, że jest męski i silny, nie przejmuje się znanadto takimi głupstwami jak ubranie. Zupełnie inaczej niż jej były partner, Richard, który zawsze wyglądał trochę lalusiowato.

Wyciągnęła dłoń i przedstawiła się:

- Jestem Sasha LeClerc.

Szybko odzyskał przytomność umysłu i uściskał jej rękę.

- Ross Grant. Vicky prosiła mnie, żebym wyszedł po panią na lotnisko.

- Dostałam od niej telegram. Dziękuję, to oczywiście ładnie z pana strony, ale mam nadzieję, że nie sprawiłam dodatkowego kłopotu; doskonale poradziłabym sobie sama.

- Ach, to żaden kłopot - odparł z lekką kpina w głosie. - Wątpię jednak, czy dałaby pani sobie radę. Obalabi jest prawie na końcu świata.

Zdumiał ją jego ton, starała się jednak tego nie okazywać.

- W takim razie mam szczęście - rzekła z pozorną beztroską. - Zawsze marzyłam o tym, żeby zobaczyć, jak wygląda koniec świata.

- A jak zamierzała pani tam dotrzeć? - zapytał, unosząc brwi.

Sasha uśmiechnęła się.

- Niech no sobie przypomnę. Chyba miałam zamiar zatrzymać się tu gdzieś na noc w hotelu, dowiedzieć się o jakieś połączenia i następnego dnia wyruszyć na północ. A potem coś bym wymyśliła...

- Spodziewała się pani jakiegoś luksusowego pociągu z klimatyzacją? - Grant znów uśmiechnął się z ironią.

Jego szyderczy ton dotknął Saszę, nie powiedziała jednak na głos, że raczej spodziewała się tu jakiegoś rozklekotanego, starego autobusu. Ten facet najwyraźniej uważał ją za rozkapryszoną amerykańską turystkę, nawet w buszu oczekującą wszelkich wygód. Musiała mu trochę dać po nosie.

- Niech pan posłucha - rzekła chłodno. - Nie mam pojęcia, o co panu chodzi, ale odnoszę wrażenie, że wcale nie ma pan szczególnej ochoty na tę wspólną podróż, więc może damy sobie z tym spokój? Pan będzie miał mnie z głowy, a ja na

pewno znajdę sobie w autobusie jakieś życzliwsze towarzystwo.

Zacząła odchodzić, a za nią jej młodociany tragarz z walizką; Ross jednak prawie natychmiast bezceremonialnie ją zatrzymał.

- Niech się pani nie wygłupia - powiedział. - Czy pani w ogóle zdaje sobie sprawę, czym jest taka podróż?

- Myślę, że niekoniecznie jest to gwałt i rabunek. Słyszałam, że Ghana to kraj biedny, ale gościnny.

Grant bez słowa odebrał chłopcu jej walizkę i ruszył do wyjścia, chłopak jednak czuł się oszukany, więc pobiegł za nim, a Sashy nie pozostawało nic innego, jak iść za nimi na zalany słońcem parking. Stał tam pojazd Rossa - zakurzony, sfatygowany dżip. Po krótkiej wymianie zdań tragarz odszedł, otrzymawszy jakieś niewielkie pieniądze, Sasha jednak nie kryła swego oburzenia.

- Niech pan słucha! Jeśli powiedziałam, że dam sobie radę, to dam sobie radę. Nie potrzebuję pana łaski i opieki, a już z pewnością nie życzę sobie pańskiej arogancji i zarozumiałstwa, doktorze!

- Skończmy te kłótnie, dobrze? - uciął chłodno Grant. - Ja mam dżipa i jadę dokładnie w to miejsce, gdzie i pani chciałyby dotrzeć. Niech się już pani nie wygłupia, tylko wsiada do środka.

Nie bawiąc się w uprzejmości cisnął jej walizkę na tył wozu i zwrócił się do dwóch małych chłopców, najwyraźniej stojących tu na straży.

- Nie było problemów?

- Nie ma złodziej, panie - odparł jeden z nich, uśmiechając się szeroko.

- My być spece - dodał drugi.

- Jesteście dwa małe cwaniaki - odpowiedział Ross ciepło i też się uśmiechnął, a Sasha ze zdumieniem obserwowała

zmianę, jaka zaszła w jego twarzy. Zdziwiły ją humor i serdeczność, z jaką traktował tych chłopców. Ich usługi także zostały nagrodzone garścią drobniaków, które wyłowił z kieszeni szortów.

- Dziękuję, chłopaki - rzekł na do widzenia; kiedy jednak otwierał drzwiczki dla Sashy, jego uśmiech znikł znowu, jakby czekał go ciężki obowiązek.

Mimo swych wewnętrznych oporów wsiadła do dżipa. Miała za sobą długą podróż samolotem i była zmęczona; szkoda jej było tracić energię na dalsze dyskusje z tym gburowatym człowiekiem, który przecież jechał prosto do Obalabi, a jej chodziło o to, żeby się tam dostać.

W dżipie było jak w piecu, rozgrzane plastikowe siedzenie parzyło ją nawet przez spódnicę. Wyjęła z torby sweter i podłożyła go sobie, żeby móc siedzieć.

Ross przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zawarczał. Z tyłu samochodu piętrzyły się stosy pudełek.

- Co to jest? - zapytała, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

- Sprzęt medyczny. Cały ten cholerny ranek spędziłem na cle, starając się to wydostać. Przede wszystkim po to tu przyjechałem. Vicky uznała, że przy okazji mogę i panią zabrać.

- Co za pechowy zbieg okoliczności - zauważyła Sasha z przekąsem.

Nie odpowiedział, obrzucił ją tylko przelotnym, ponurym spojrzeniem. W milczeniu wyprowadził samochód z parkingu i wyjechał na główną drogę.

- Czy nienawidzi pan kobiet w ogóle, czy to we mnie jest coś, co sprawia, że jest pan taki... hm... niezyczliwy? - zapytała po chwili.

Twarz mu stężała, lecz nie spuszczał wzroku z drogi.

- Niech pani posłucha - zaczął. - Tutaj nie ma ot, takich sobie przejażdżek. Chciałbym, żeby to do pani dotarło. Miną dobre dwa dni, zanim dotrzemy do Obalabi. W tym samochodzie nie ma klimatyzacji, jest teraz marzec, najgorętsza pora roku. Człowiekowi jest gorąco, chce mu się pić, jest brudny, spocony i umordowany do granic wytrzymałości. Ostatnią rzeczą, której mógłbym sobie życzyć w takiej podróży, jest kapryśna ciocia, stara panna, która ciągle będzie na coś narzekać... - Przerwał, czując, że się zagalopował, ale ku jego zdumieniu Sasha wybuchnęła głośnym, niepowstrzymanym śmiechem.

- Już rozumiem, o co chodzi - powiedziała w końcu. - Niech pan nie czuje się zakłopotany - dodała ciepło. - Ma pan zupełną rację, rzeczywiście jestem starą panną. Mam trzydzieści lat, jestem niezamężna, a moja najstarsza siostra Denise zrobiła mnie ciotką i to nawet sześciokrotnie. I właśnie jej najstarsza córka zakopała się gdzieś w najdalszym zakątku Czarnej Afryki.

- A pani przyjechała ją stąd wyciągnąć - stwierdził sucho Ross.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

- Przypuszczam, że panu się to nie podoba - powiedziała ostrożnie.

- No, jasne, że nie! - wybuchnął.

- Czy pan ją kocha?

- Nie - odparł, a w jego oczach odmalowało się niekłamane zdumienie. - Poza tym ona jest po uszy zakochana w jednym Niemcu, instruktorem rolnym, więc jeśli chce ją pani stąd wyciągnąć, to może sobie pani to wybić z głowy.

- Dzięki za informację - odpowiedziała grzecznie.

A więc tak to sobie wykoncypował, najwyraźniej był w wojowniczym nastroju. Sasha jednak nie zamierzała podejmować zaczepki. Przyjechała do Afryki w oczekiwaniu

przygody, nowych wrażeń, i miała szczerzy zamiar dobrze się bawić. Ten gbur nie był w stanie jej tego zepsuć. Poza tym należały jej się prawdziwe wakacje; niedawno sprzedała swój sklep, była więc wolna i stać ją było na podróżowanie.

Ta podróż miała też dać jej czas do zastanowienia, co ma robić dalej.

Oczywiście, nie musiała przyjeżdżać do Afryki, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, równie dobrze mogło się to stać w Tybecie, New Jersey czy na sofie w jej własnym saloniku. Ponieważ jednak jej siostrzenica mieszkała w Afryce, a siostra Sashy, Denise, szalała z niepokoju o córkę, uznała to za znak dany od losu i postanowiła pojechać właśnie tam. Sasha wierzyła w znaki, a poza tym lubiła egzotykę. Nie mogła też zlekceważyć słów Cyganki, która wywróżyła jej kiedyś: „Pojedziesz w daleką podróż i tam spotkasz swe przeznaczenie”.

I tym to sposobem znalazła się w samym sercu Czarnej Afryki, ciekawa, jakie to przeznaczenie ją tu czekało.

Z zainteresowaniem wyglądała przez okno; wzdłuż drogi wszędzie było pełno ludzi. Kobiety ubrane były w różnobarwne zawoje, umiejętnie owinięte wokół ciała; na głowach dźwigały kosze pełne towarów, na plecach miały małe dzieci. Mężczyźni chodzili w spodniach i koszulach albo w T-shirtach i szortach. W cieniu pod palmami dojrzała stragan z owocami, na którym piętrzyły się ananasy, pomarańcze i egzotyczne paw paw. W pobliżu pasła się koza.

Sasha z przejęciem zaczęła chłonać atmosferę tego miejsca. Przypomniał jej się pobyt w Meksyku kilka lat temu, kiedy to podróżowała lokalnymi autobusami, poznawała ludzi, podziwiała widoki, chodziła po targowiskach i rozmawiała z dzieciakami, posługując się swoim łamanym hiszpańskim.

W tym momencie przez okno samochodu powiał gorący wiatr i poderwał jej z głowy kapelusz, Sasha zdjęła go więc i odłożyła na tył samochodu.

- Skąd pani wytrzasnęła ten koszmarny kapelusz? - zapytał kąśliwie Grant.

Sasha szeroko otworzyła oczy, zdumiona jego kolejną impertynencją.

- Kupiłam go w Westport, w Connecticut, w La Tres Chic Boutique Antique.

- Co? - skrzywił się.

- To po francusku - odpowiedziała usłużnie. - To oznacza sklep ze starodawną odzieżą wysokiej klasy. Szkoda, że nie podoba się panu ten kapelusz. Pochodzi z lat pięćdziesiątych. Prawdę mówiąc, to swego rodzaju dzieło sztuki.

Spojrzał na nią, jakby była niespełna rozumu. Sasha uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Myślałam, że tu, w tropikach, kapelusz bardzo mi się przyda. A jeśli już, to dlaczego nie miałby to być właśnie taki, ze sztuczną różą i z piórami. Czy w życiu wszystko musi być takie śmiertelnie poważne?

Prawdę mówiąc, La Tres Chic Boutique Antique to był właśnie jej sklep, który miesiąc temu sprzedała swej przyjaciółce Caroline, praktycznie za bezcen.

Wyspecjalizowała się w sprzedaży garderoby sprzed wielu dziesiątków lat, profesjonalnie pranej i reperowanej. Zdobywała te rzeczy na rozmaitych aukcjach i wyprzedażach, a artyści i najrozmaitsi dziwacy szaleli za tymi ubraniami, bo czegoś takiego nie dostaliby nigdzie indziej. Sasha zaczęła działalność bardzo skromnie, a w ciągu dwóch lat jej biznes rozrósł się tak, że sama nie dawała już sobie rady.

Zatrudniła kogoś do pomocy, potem następną osobę i następną. W zeszłym roku otworzyła filię w Nowym Jorku.

Stałe zaopatrywanie obu sklepów stanowiło dla niej nieustające wyzwanie. W poszukiwaniu atrakcyjnego towaru wyprawiała się do Kanady, a nawet kilkakrotnie do Anglii.

Były to miłe wspomnienia, teraz jednak wolała skupić się na tym, co widziała za szybą samochodu. Z przeciwka zbliżała się do nich wielka, rozklekotana ciężarówka, opatrzona na przodzie jaskrawym napisem, który głosił: „Życie to wojna”. Sasha roześmiała się głośno.

- Co panią tak śmieszy? - zapytał Grant ponuro.

- Ten napis - „Życie to wojna”. Biedny ten facet, jeśli taka jest jego życiowa filozofia.

- Rozumiem, że pani się z tym nie zgadza.

- Przyznaję, że życie nie zawsze jest łatwe, ale ja mam do niego inny stosunek. Wolę traktować je jako wyzwanie, doświadczenie... przygodę. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Życiem należy się cieszyć i je smakować.

- Ma pani szczęście, że może sobie pozwolić na ten luksus - odburknął sucho, ze wzrokiem wbitym w szosę.

Sasha powstrzymała chęć, aby mu się odciąć.

- A pan nie? Dla pana życie też jest wojną?

W tym momencie z przydrożnych zarośli wynurzyła się koza i wyskoczyła na szosę tuż przed nimi. Ross zaklął i zahamował gwałtownie, z trudem wymijając zarówno kozę, jak i nadjeżdżający właśnie mikrobus. Ten z kolei miał wymalowane inne hasło: „Szczęście jest treścią życia”.

- Pod tym hasłem mogę się podpisać - powiedziała prowokująco. - Pan jest pesymistą?

- Powiedzmy, że realistą.

- Tak właśnie mówią wszyscy pesymiści.

Grant posłał jej złe spojrzenie, ale powstrzymał się od komentarza.

Sasha nie przejęła się tym, podziwiała egzotyczny widok za oknem.

Przez dłuższy czas podróżowali w milczeniu, droga wlokła się niemiłosiernie.

- Czy zatrzymamy się gdzieś niedługo? - zapytała w końcu.

- Nie, już jesteśmy spóźnieni. Chciałbym wyjechać z Kumasi, zanim się ściemni. Na noc zatrzymamy się u moich przyjaciół.

- Nie chciałabym nikomu sprawiać kłopotu.

- To żaden kłopot. Oni zawsze chętnie przyjmują gości i wiedzą, że przyjedziemy.

- Co to za ludzie? Ghańczycy czy Amerykanie?

- Amerykanie. Daniella i Marc Penbrooke. Ona jest malarką, a on inżynierem od spraw wodnych. Za dwie godziny powinniśmy tam być.

- Muszę skorzystać z toalety.

- To chyba pani nie skorzysta, bo tutaj nic takiego nie ma.

- To może zatrzymamy się tutaj?

- Proszę bardzo, tylko niech pani nie wystraszy węży. Jego bezczelność przekraczała wszelkie granice, Sasha zaczynała mieć już tego dość. W końcu wcale nie prosiła, żeby ktokolwiek po nią wyjeżdżał, znakomicie dałaby sobie radę sama.

Po chwili przerwy ruszyli w dalszą drogę i Sasha zapytała:

- A co słyhać u Vicky?

- Jest znakomitą instruktorką. - Grant posłał jej szybkie, ponure spojrzenie. - Pełna poświęcenia, ciężko pracuje i ma bardzo dobre kontakty z uczennicami i całym personelem.

- Tak też przypuszczałam.

- A co z tą jej matką? - zapytał po chwili.

- Nic, a co miałoby być?

- Dlaczego chce ją ściągnąć do domu?

- Martwi się o nią. - Sasha wzruszyła ramionami. - To taka matka - kwoka; chciałaby mieć wszystkie dzieci pod

skrzydłami. Bardzo przeżywa wyjazd Vicky, ma pięciu synów, a Vicky jest jej jedyną córką.

- Na litość boską! Ona ma dwadzieścia trzy lata.

- Dziecko zawsze pozostaje dla matki dzieckiem, nie zna pan mojej siostry.

- I chyba nie chciałbym poznać. Sasha poczuła, że ogarnia ją gniew.

- Moją siostrę niech pan zostawi w spokoju - wybuchnęła.

- A Vicky robi tak, jak będzie chciała; to nie pański interes.

- Właśnie, że mój. Nie dopuszczę, żeby ją pani tak długo urabiała, aż w końcu stąd wyjedzie.

- Ach, więc to tak?

- Tak! - Nie patrzył na nią, prowadził ze wzrokiem wbitym w szosę. Była w jego tonie jakaś twardość, wyraz determinacji. - Nie zabierze pani stąd Vicky. Koniec, kropka. - Jego despotyczny ton doprowadzał ją do szału. - Vicky jest pełnoletnia, decyduje sama o swoim życiu i nie będzie pani wywierać na nią żadnych nacisków, żeby wracała do domu. Jasne?

- Jasne - odparła z przekąsem. A więc to był taki człowiek. Wszystko musiało być tak, jak on sobie życzył i nikt nie śmiał mu się przeciwstawić. I to z kimś takim miała spędzić dwa dni w jednym samochodzie, zdana na jego łaskę i niełaskę. Sasha jednak nie poddawała się tak łatwo.

Tonem konwersacji zapytała więc:

- A kim niby pan jest, żeby mi rozkazywać, co mam robić, a czego nie?

- Dobrze, zaraz się pani dowie. Jeden fałszywy ruch i będzie pani z powrotem w samolocie, nawet się pani nie obejrzy.

To już zabrzmiało jak cytat z kiepskiego filmu. Sasha roześmiała się w głos wobec absurdalności całej tej sytuacji.

- Ho, ho, odezwał się macho. Chylę czoło przed pana przewagą, doktorze.

- Proszę później nie mówić, że pani nie ostrzegałem. Sasha poczuła, że może lepiej nie drażnić tego brutala.

Wcale jej się nie uśmiechało wylądować nagle samotnie z bagażami na brzegu szosy, gdyby przyszło mu do głowy wysadzić ją z samochodu. Popatrzyła przez szybę na zielone wzgórza i dżunglę ciągnącą się po obu stronach drogi.

Ten człowiek był lekarzem, miał nieść swym pacjentom pomoc i ulgę w cierpieniu. Jeśli traktował ich w podobny sposób, to Sasha bardzo im współczuła; jego żonie też, jeśli ją miał. Przyjrzała się jego dłoniom spoczywającym na kierownicy. Były silne i opalone. Nie miał obrączki.

Grant pochwycił jej spojrzenie, wytrzymała jednak jego wzrok.

- Patrzyłam, czy ma pan obrączkę - rzekła śmiało. - Ciekawa byłam, czy jest jakaś kobieta, która miała tego pecha, że została pańską żoną. Jest pan żonaty?

- Nie. - Twarz mu stężała.

Omam nie odparła: wcale się nie dziwię, ale się w porę powstrzymała.

- Długo zamierza pani tu być? - zapytał po chwili milczenia.

- Zobaczą, jak będzie. - Wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru wyjawiać mu swoich planów, które obejmowały wyjazd na safari do Kenii i powrót do domu okrężną drogą, przez Europę.

- Nie musi pani wracać do pracy? Wydawało mi się, że pracuje pani w jakimś sklepie z ubraniami, czy coś w tym rodzaju.

Sasha powstrzymała uśmiech; ten facet najwyraźniej miał ją za jakąś sprzedawczynię.

- Straciłam pracę - rzekła spokojnie. - Obecnie jestem szczęśliwą bezrobotną.

- Szczęśliwą? Wcale to pani nie martwi?

- Nie, ani trochę - uśmiechnęła się promiennie. - Potrzebowałam odmiany, przestało mnie to już bawić.

- Wszystko traktuje pani jak zabawę? - Jego pytanie zabrzmiało oskarżycielsko.

- Prawie. Inaczej umarłabym z nudów. Nuda i rutyna zabijają w człowieku ducha i duszę.

- Podobno dusza jest nieśmiertelna.

- W takim razie lepiej mieć szczęśliwą duszę. A pan nie znajduje w pracy żadnej radości, przyjemności?

- Jestem lekarzem - odpowiedział. - Pracuję z biednymi, prostymi ludźmi.

- Czy to oznacza, że wszystko jest śmiertelnie poważne i ponure i nie ma miejsca nawet na odrobinę frajdy? To okropne. A może powinien się pan zastanowić nad zmianą zawodu? Może znalazłoby się coś, co sprawiałoby panu choć trochę radości?

Popatrzył na nią, jakby była niespełna rozumu.

- Ludzie tak robią - ciągnęła nie zrażona. - Mam na myśli zmianę zawodu. Pan jest jeszcze młody, a świat jest pełen możliwości.

- Czy pani się czegoś najadła w tym samolocie? - zapytał i ku swojemu bezgranicznemu zdumieniu Sasha dojrzała w jego oczach przebłysk wesołości.

Nareszcie atmosfera w samochodzie trochę się rozładowała. Sasha uśmiechnęła się w odpowiedzi i przyjrzała się swojemu współtowarzyszowi podróży; teraz, kiedy się wreszcie uśmiechnął, wyglądał nawet miło, a jego mocne, zmysłowe usta wydawały się stworzone do całowania.

Sasha sama skarciła się za te myśli, nie mogła ich jednak powstrzymać. Grant miał niezaprzeczalny, bardzo męski urok, jakąś zwierzęcą siłę, która ją do niego przyciągała.

To było szaleństwo. Traktując rzecz racjonalnie, ten człowiek niczym jej nie zaimponował, jego zachowanie było obraźliwe i rażące. Sasha nie była przecież nastolatką, aby poddać się czysto fizycznemu urokowi jakiegoś mężczyzny. Niech sobie roztacza swój sex appeal i da jej spokój.

Ross znowu patrzył już tylko na szosę.

- A więc, rozumiem, że zmiana zawodu nie wchodzi w rachubę. To niech mi pan powie, dlaczego zdecydował się pan pracować w Afryce?

- Po Nowej Gwinei była to pewna odmiana. - Wzruszył ramionami.

Tym razem Sasha nie kryła, że zrobiło to na niej wrażenie.

- Boże! Co pan tam robił?

- To samo, co tutaj. Pracowałem dla GHO.

- Co to jest?

- Ogólnoswiatowa Organizacja Zdrowia. Jest to prywatna, niedochodowa organizacja, która buduje szpitale i kliniki w krajach trzeciego świata. Została założona przez pewnego ekscentrycznego, starego multimilionera, posiadającego dość czasu i pieniędzy, by swoją wizję uczynić czymś rzeczywistym.

- To pewnie jakiś ciekawy człowiek.

- Tak. Ten facet ma teraz siedemdziesiąt dziewięć lat i nie wie, co to jest emerytura. Jeździ starym volkswagenem garbusem, chodzi w ubraniach, które mają po trzydzieści lat, a pieniądze nosi w kieszeniach. Jest kompletnie rąbnięty, ale wie, czego chce.

- Podoba mi się ten człowiek - stwierdziła Sasha. - A dlaczego pan dla niego pracuje?

- Lubię go. - Grant znowu się uśmiechnął. - I jest to dla mnie wyzwanie.

Dotarli do Kumasi, sporego miasta, zatłoczonego i pełnego zgiełku. Słońce już zachodziło i szybko zapadał zmierzch. Sasha poczuła głód. Od wyjścia z samolotu nie miała nic w ustach, ale wołała się nie skarżyć. Prędzej czy później ten silny mężczyzna też musiał zgłodnieć, a nie chciała dostarczać mu argumentów potwierdzających, że jest zrzedliwą starą ciotką. Na myśl o tym chciało jej się śmiać.

Ciekawe, jak skomentowałby to Richard; on zawsze miał coś do powiedzenia, na każdy temat. Kiedy miesiąc temu postanowiła z nim zerwać, usłyszała parę niemiłych słów. To zerwanie było ciosem dla męskiego ego, musiał więc jakoś odreagować; wymyślił wtedy, że jest nieodpowiedzialna, impulsywna, niewrażliwa i tak dalej. Nawet, że zwariowała.

Która kobieta przy zdrowych zmysłach dobrowolnie wypuściłaby taką zdobycz? Richard był młodym, obiecującym urzędnikiem w firmie produkującej zamki błyskawiczne. Szybko wspinał się po szczeblach kariery, był przystojny, ambitny, poważny, miał piękne mieszkanie i jeździł ferrari.

Sasha jednak zrezygnowała z niego bez najmniejszego trudu. Dość miała jego zarozumiałstwa i egocentryzmu. Był dla niej jakąś papierową postacią, manekinem. Sama myśl o małżeństwie z tym człowiekiem wydawała się przerażająca. To była stagnacja i śmierć za życia, a ona pragnęła przygody, silnych emocji; marzyła o podróży do Afryki, gdzie miała spotkać swe przeznaczenie.

Sprzedawała swoje sklepy, mimo że przez pierwsze lata prowadziła je z powodzeniem i przyjemnością. Stopniowo jednak, kiedy biznes się rozwijał, coraz mniej miała z tego frajdy, a pracy było coraz więcej. Właściwie była to już tylko praca, praca i praca. Sasha nie bała się samej pracy, nie chciała jednak popaść w rutynę. Życie z pewnością kryło w

sobie więcej, a przy tym nawale zajęć coś istotnego mogło ją ominąć. Zdaje się, że Vicky myślała podobnie. Nie można wciąż być tylko grzeczną, pracowitą dziewczynką, spełniającą oczekiwania mamusi. Sasha ceniła w swojej siostrzenicy charakter i samodzielność. To je zresztą łączyło.

Wyjechali z Kumasi, za oknem była już ciemna noc. Tylko kiedy mijali jakąś wioskę, pojawiały się światełka lamp naftowych w sklepikach i na przydrożnych straganach.

- Za godzinę będziemy na miejscu - zawiadomił ją Grant, ale nie skończył jeszcze mówić, kiedy spod maski auta dobiegł ich złowieszczy dźwięk.

Ross chciał zakląć, ale nie zdążył, bo samochód zaczął gwałtownie zwalniać; w ostatniej chwili zdołał sprowadzić go na pobocze. Potem silnik ucichł.

Sasha wolała nie wywoływać wilka z lasu, powstrzymała się więc od komentarzy. Ross zaś klął dużo i soczyście, bezskutecznie usiłując ponownie uruchomić samochód.

Otworzył drzwiczki i wściekły wyskoczył na zewnątrz. Przyświecając sobie latarką, podniósł maskę i zaczął sprawdzać instalacje. Nie potrzebował wiele czasu, by zorientować się, w czym rzecz. Z pasją zatrzaskał maskę i wsiadł z powrotem do samochodu; jego ponura mina nie wróżyła nic dobrego, Sasha czekała jednak, aż sam powie jej, co się stało. Po minucie odezwał się:

- Niech pani będzie tak miła i nie wpada w histerię. Utknęliśmy tutaj na noc.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Tutaj, to znaczy w dziupie? - Sasha przez chwilę nie mogła ochłonąć po tej wiadomości.

- Tak. Nie muszę chyba dodawać, że w okolicy nie ma żadnego hotelu, a gdyby nawet był, to i tak nie zostawiłbym sprzętu medycznego bez opieki.

Sasha była śmiertelnie zmęczona, czuła się brudna i spocona i marzyła już tylko o prysznicu i o jakimkolwiek łóżku, na którym mogłaby się przespać. No i jeszcze, żeby coś zjeść, co chyba zrozumiała, skoro przebyła prawie pół świata. Tak czy owak, nie wyglądało na to, żeby jej marzenia miały się spełnić.

Co za cholerny facet! Awaria samochodu nie powstała z jego winy, ale to jego zadufanie skrupiło się teraz na niej. Wyperswadował jej podróż na własną rękę, a przecież gdyby ruszyła w drogę sama, spałaby sobie teraz bezpiecznie w hotelu, zamiast tkwić gdzieś na drodze w środku dżungli. Zamiast go słuchać, powinna była zaufać własnej intuicji.

W tej chwili przypomniało jej się, co Ross mówił o "jękliwej starej pannie", i natychmiast wpłynęło to na nią uzdrawiająco.

- Świetnie - powiedziała z pozorną bez troską. - Zostaniemy tutaj.

Musiała mu pokazać, jaka jest twarda.

Popatrzył na nią obojętnie, lecz w jego oczach dostrzegła jakiś błysk. Zaskoczenie?

- Jest pani pewnie zmęczona po podróży? - zapytał, jakby dopiero teraz przyszło mu do głowy, że ona ma za sobą całą noc w samolocie.

- Tak, jestem - odpowiedziała.

Badał ją wzrokiem, jakby na coś czekał.

- No, proszę, niech już pani to z siebie wydusi.

- Co? - Sasha popatrzyła mu prosto w oczy.

- Że nie powinna była pani ze mną jechać i że to wszystko moja wina.

Dobrze, sam o to prosił.

- Tak, szkoda, że nie posłuchałam głosu intuicji - rzekła.

- Jakiej intuicji?

- Moich odczuć na pana temat. Wcale nie chciał mnie pan zabrać i nadal tylko panu zawadzam. Powinnam była przenocować w Akrze, a jutro ruszyć w drogę. Przynajmniej miałabym teraz pokój z czystym łóżkiem, prysznicem i klimatyzacją. A tak, siedzę w dziapie w samym środku jakiegoś pustkowia, z wyjątkowo antypatycznym facetem i mam tak spędzić całą noc.

Grant kiwnął głową i rzekł:

- No, skoro to już wiemy, przejdźmy teraz do następnego punktu. Czy jest pani głodna?

Bezczelność tego człowieka przechodziła wszelkie granice. Sasha jednak za wszelką cenę starała się zachować spokój. Nie mogła dopuścić, żeby wyprowadził ją z równowagi. Nie chciała dać mu tej satysfakcji.

- Skoro już o tym mowa, to rzeczywiście, tak - uśmiechnęła się, jakby dopiero teraz o tym pomyślała. W rzeczywistości skręcała się z głodu; od wyjścia z samolotu nie miała w ustach nic oprócz wody.

Grant otworzył drzwi i wyskoczył z dziapa.

- Dopiero mijaliśmy jakąś wioskę. Pójdę przynieść coś do jedzenia, a rano może ktoś stamtąd pomoże mi uruchomić samochód. Niech pani zostanie przy rzeczach.

Sasha niezbyt lubiła, kiedy nią komenderowano, teraz jednak nie miała wyboru. Perspektywa, że zostanie tu sama w ciemnościach, na drodze biegnącej przez afrykańską dżunglę, napęniała ją przerażeniem. W zaroślach mogły kryć się przeróżne dzikie zwierzęta. Jej wyobraźnia zaczęła tworzyć mrożące krew w żyłach obrazy. Opanowała się jednak,

zwłaszcza że znowu przypomniła sobie o "jękliwej starej pannie".

- Więc mam zostać na straży pańskiego dobytku? - zapytała.

- Tak, jeśli chce pani jeść - rzucił opryskliwie. - Dla mnie to nie pierwszozna. Proszę się nie bać, nic strasznego tu pani nie grozi.

- Żaden gwałt ani rabunek? - przypomniała mu.

- Może rabunek, ale nie gwałt. Bardziej prawdopodobne, że jeśli ktoś nadjedzie, to będzie chciał pomóc. Wtedy proszę tylko powiedzieć, że panujemy nad sytuacją.

- Niewątpliwie. - Sasha zaśmiała się z ironią.

- Liczę, że będzie pani bronić mojej dostawy jak lwica, gdyby zaszła taka konieczność. Chyba że chodziłoby o pani życie albo cnotę - skrzywił się i odszedł.

Nie było jeszcze siódmej, panowały jednak nieprzeniknione ciemności.

To była chyba najczarniejsza noc jej życia, dosłownie i w przenośni. Dokoła samochodu w zaroślach kotłowało się od wszelakich nocnych stworzeń, które wyszły na żer. Sasha pomyślała, że taka bezbronna, samotna ciotka - stara panna - mogłaby być dla nich niezłym kąskiem.

Sama jednak nakazywała sobie spokój; nie należało teraz popuszczać wodzy wyobraźni. Przecież chciała przygód, więc nie powinna teraz wpadać w panikę. Po powrocie będzie miała co opowiadać znajomym przy kieliszku wina.

W brzuchu burczało jej z głodu. Ciekawa była, co za jedzenie przyniesie Ross, ale na dobrą sprawę było jej wszystko jedno; zjadłaby cokolwiek, byle zaspokoić głód.

Czuła się fatalnie nie mogąc się wykapać, postanowiła jednak, że przebierze się chociaż w czyste rzeczy. W tyle dzipa wymacała swą torbę i walizkę i przy świetle latarki wydołała stamtąd wygodne bawełniane spodnie w kwiatki i

zielony T-shirt. Wysiadła, przebrała się szybko przy samochodzie i od razu poczuła się lepiej.

Kiedy upychała w walizce zdjęte ubrania, przypadkiem natrafiła na ciastka z figami, które przywiozła dla Vicky. To były jej ulubione. Gdyby Ross nie zdołał zdobyć nic do jedzenia, mogli jeszcze zjeść te ciastka, figowe nadzienie było pożywne i kaloryczne.

Sasha wyszczotkowała włosy i przy świetle latarki zaczęła czytać książkę; musiała coś robić dla zabicia czasu, który ciągnął się w nieskończoność. Czekanie nie było jej mocną stroną, była osobą aktywną, lubiła działać. Chciała, żeby Grant wreszcie wrócił.

Rzeczywiście, po jakimś czasie wrócił i to nie sam. Towarzyszył mu mężczyzna, który powitał ją szerokim uśmiechem, wyraził współczucie z powodu awarii i obiecał, że o pierwszym brzasku jego syn pojedzie do Kumasi, przywiezie nowy pasek klinowy i pomoże zreperować samochód.

Miał nadzieję, że Sashy smakować będzie jedzenie ugotowane przez jego żonę, której wyśmienite potrawy z tłuczonymi orzechami słynne były na całą okolicę. Podał jej emaliowany garnuszek z gorącym jedzeniem.

Mężczyzna powiedział, że ma na imię Joseph. Postać chwilę przy samochodzie, wreszcie zapowiedział, że wróci rano ze swym synem Kofim, i znikł w ciemności.

Ross, podobnie jak Sasha, zaopatrzony został w emaliowany garnuszek, miał też cztery butelki ciepłej wody sodowej, parę bananów i torebkę orzeszków ziemnych.

Siedząc w samochodzie, oboje zabrali się do jedzenia. Wnętrze dżipa oświetlała zatknięta u góry latarka.

Garnuszki wypełnione były dziwną białą masą, przypominającą surowe ciasto, oblaną czymś w rodzaju gulaszu.

- Co to jest? - zapytała Sasha.
- To białe to fufu.
- Dobrze, a co to jest fufu?
- Gotowane banany, owoc kasawy albo słodkie ziemniaki, a może mieszanka. Gniotą to i wyrabiają tak długo, aż ma konsystencję surowego chleba. To naprawdę sycące, świetnie wypełnia żołądek, a sos to właśnie potrawka orzechowa; robi się ją z orzeszków ziemnych, cebuli, pomidorów, mięsa i chili. Mam nadzieję, że lubi pani ostre jedzenie.
- A co to za mięso?
- Proszę nie pytać - odparł, odrywając kawałek fufu i maczając go w sosie.
- Rozumiem, małpie łebki, szczury, ślimaki. - Sasha nie dawała się zbyć byle czym.
- Jedz, ciociu, i nie marudź! - Ross jadł i nie zamierzał jej nic więcej tłumaczyć.
- Proszę nie nazywać mnie ciocią, mam na imię Sasha.
- W porządku, a ja Ross. A teraz może byś już wreszcie zaczęła jeść?
Sasha spojrzała na swojego towarzysza, który jadł bez żadnych oporów, nawet dość łapczywie, jak człowiek, który jest głodny.
- Mam jeść rękami?
- Nie widzę problemu, w tych warunkach to zupełnie do przyjęcia. I już nie panikuj, to po prostu kurczak.
Potrawa była rzeczywiście ostra, bardzo ostra. Łzy napłynęły Sashy do oczu, paliło ją w ustach i w gardle.
Grant uśmiechnął się na ten widok, podał jej butelkę z wodą sodową; wypila trochę i poczuła się nieco lepiej. Otarła oczy, prawdopodobnie rozmazując przy tym tusz do rzęs, ale postanowiła, że będzie twarda, nie da temu przekłębemu doktorce satysfakcji.

Z pewnym trudem przełknęła jeszcze parę kęsów ognistej potrawy i odstawiła garnek. Ross tymczasem opróżnił swój do czysta.

- No, i co powiesz na to pierwsze afrykańskie jedzenie? - zapytał.

- Bardzo smaczne, ale więcej już nie mogę - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Jestem zdumiony, że zjadłaś aż tyle - rzekł chłodno.

- No, to teraz deser. - Ross podał jej banana, drugiego wziął sobie. - Taka ilość skrobi pozwoli nam przetrwać do rana - stwierdził.

Po posiłku przyszła pora, żeby jakoś rozlokować się do snu. Ross uznał, że najlepiej będzie, jeśli Sasha ułoży się w tyle samochodu na stosach pudeł, on zaś miał zamiar spędzić noc na przednich siedzeniach.

- Wiem, że jest jeszcze wcześniej, ale ponieważ nocnego klubu w pobliżu nie ma, więc może po prostu ogłosimy noc - rzucił szorstko. - Chyba że masz ochotę na partyjkę pokera?

- Innym razem, panie doktorze.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że grywasz w pokera? - wyglądał na zaskoczonego.

- Ależ tak, jestem w tym nawet niezła.

- Nie do wiary!

- Jak to nigdy nie wiadomo z tymi starymi ciotkami, prawda? Co chwila to niespodzianka. - Sasha odnotowała jeden punkt na swoją korzyść. W college'u sporo grywała w pokera.

- Dlaczego nie wyszłaś za męża? - zapytał nagle Ross.

- Parę razy nadarzała się taka okazja. - Sasha zatłukła na sobie komara. - Uznałam jednak, że byłby to kardynalny błąd z mojej strony. Nie jestem dobrym materiałem na żonę.

- Nie? A dlaczego?

- Mam wspaniałe predyspozycje, żeby męczyzną skutecznie unieszczęśliwić. - Tak przynajmniej twierdził Richard. Niekoniecznie musiała się z nim zgadzać.

- Na czym to polega?

- Nie lubię, jak ktoś mną komenderuje, poza tym kiepska ze mnie gospodyni, nie umiem gotować, matkować komuś też nie chcę. Jestem zbyt niezależna, zbyt rozsądna i uparta. Mam wyliczać dalej?

Pokiwał głową z wyrazem rozbawienia.

- Nie, mam już mniej więcej obraz sytuacji.

Sasha popatrzyła mu prosto w oczy, jakby chciała się upewnić, czy zrozumiał, o co jej chodziło.

Przed snem trzeba jeszcze było dokonać ablucji w odrobinie wody z termosu i wysmarować się środkiem przeciw komarom, których sporo dostało się do samochodu. Wszystko to wymagało nie lada akrobacji i układając się wreszcie na stosie pudełek Sasha czuła się jak bohaterka jakiegoś podróżniczego filmu. Potrafiła jednak dostrzec komizm sytuacji, a poczucie humoru szczególnie się liczyło w sztuce przetrwania.

Zdażyła jeszcze rzucić na przednie siedzenie paczkę ciastek figowych, które mogły przydać się na śniadanie.

- Przywiozłam to dla Vicky, ale w tych okolicznościach...

- zaczęła, na co Ross zareagował niespodziewanie gwałtownie. Nie rozumiała, dlaczego, była jednak zbyt zmęczona i śpiąca, żeby się nad tym teraz zastanawiać.

Ledwie zamknęła oczy, ogarnął ją słodki, upragniony sen.

Obudził ją śpiew ptaków, w który wsłuchiwała się przez chwilę, nie otwierając oczu. Wkrótce i Ross zaczął ruszać się na przednim siedzeniu.

- Nie śpisz, ciociu? - mruknął. - Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Dlaczego tak ją drażnił? Nie powinna do tego dopuścić. Teraz, kiedy przyglądała mu się tuż po obudzeniu, znów uświadomiła sobie, jak bardzo jest męski. Zmierzwiłone włosy i spory, ciemny zarost zwiększały tylko jego atrakcyjność.

Co za głupota z jej strony; sama pchała się w niebezpieczeństwo.

- Nie śpię - powiedziała głośno.

Tył samochodu zawalony był stosami pudełek, więc żeby wydostać się na zewnątrz, Sasha musiała jakoś wygramolić się przodem; przy okazji rąbnęła głową w dach samochodu i nabiła sobie guza.

Ross tylko wybuchnął śmiechem.

- Śmieszne, co? - Popatrzyła na niego ze złością.

- Bardzo - odpowiedział, nie odrywając od niej wzroku.

- Ze swoich pacjentów też się śmiejesz, kiedy ich coś boli?

- Wtedy nie. - Jego twarz przybrała wyraz uroczystej powagi. - Całuję ich na pocieszenie.

Otoczył ją ramieniem, chcąc przyciągnąć do siebie, ale natychmiast mu się wyrwała. Ten niespodziewany dotyk sprawił jednak jej serce w jakiś opętany galop.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - warknęła.

- Myślałem, że chcesz, żebym cię pocałował na pocieszenie.

- Możesz sobie pomarzyć, doktorku. - Sasha otworzyła drzwi samochodu i wyskoczyła na zewnątrz. Ross w samochodzie śmiał się głośno.

Przez chwilę nie mogła ochłonąć po tym, co się stało. Pocałować ją na pocieszenie, ale pomysł! Jednak myśl, że mógłby ją pocałować, zakorzeniła się w jej świadomości i nie dawała spokoju. Usta miał mocne i zmysłowe, obiecujące wiele rozkoszy, to już zauważyła. Z pewnością umiał całować.

Takie refleksje były co najmniej nie na miejscu. Po raz drugi tego ranka przywołała się do porządku.

Rozejrzała się dookoła, popatrzyła na dżunglę. Za dnia wszystko wyglądało znacznie mniej przerażająco niż po ciemku. Właściwie panował tu spokój, blade światło słoneczne przeświecało poprzez soczystą zieleń zarośli, w których zapamiętałe świergotały ptaki.

Sasha umyła się w resztkę wody z kanistra i po raz pierwszy przejrzała się w lusterku samochodowym. Nic dziwnego, że Ross się z niej śmiał, pewnie wcale nie chodziło mu o tego guza. I bez niego wyglądała koszmarnie. Tusz do rzęs w tym upale spływał jej po twarzy.

Wsiadła z powrotem do samochodu, ustawiła tylne lusterko tak, żeby móc się w nim przeglądać, i z kosmetyczką na kolanach zaczęła poprawiać makijaż. Ross tymczasem, po nocy, którą spędził skurczony, ćwiczył przy samochodzie, żeby rozprostować mięśnie.

Ściągnął koszulę i demonstrował swą tężyznę w pełnej krasie. Pod opaloną skórą wyraźnie rysowały się mięśnie; miał w sobie coś z tygrysa gotującego się do skoku. Była to jakaś surowa, pierwotna męskość, która przemawiała do Sashy aż nazbyt dobitnie. Z westchnieniem zamknęła oczy, a potem tak przesunęła lusterko, żeby nie mieć go w polu widzenia.

Nie zdążyła jeszcze dokończyć makijażu, kiedy Ross z powrotem znalazł się przy niej w samochodzie. Wciągnął przez głowę czystą koszulę, po czym rozparł się swobodnie na swoim fotelu i obserwował ją z uwagą.

- Przestań się na mnie gapić, doktorku - zaprotestowała.
- Czyżby cię to onieśmielało? - W oczach pojawił mu się znowu szatański błysk.
- Nie masz żadnego wychowania? Grant zignorował to pytanie.

- Po co w ogóle zawracasz sobie tym głowę? - rzucił. - Za godzinę znów będziesz wyglądać jak czarownica.

- Dzięki. Jesteś przemiły; to właśnie pragnęłam usłyszeć. Myślałam, że mamy odwiedzić twoich przyjaciół. To chyba niedaleko stąd?

- Tak, ale zanadto się na to nie napalaj - nie zostaniemy tam długo. Jakiś prysznic, coś na ząb i jedziemy dalej. Nie mogę sobie pozwolić, żeby stracić kolejny dzień. No, a teraz pora na śniadanie. - Sięgnął po plastikową torbę z prowiantem.

Zjedli banany, orzeszki ziemne i całą torbę figowych ciastek. Ciastka prawie wszystkie zjadł Ross, ale domagał się jeszcze i Sasha z trudem uchroniła drugą torbę dla Vicky.

- Te są dla Vicky, to jej ulubione - zaprotestowała.

- Vicky teraz je mało słodczy, nic jej nie będzie, jak nie dostanie tych ciastek - napraszał się jak łakome dziecko. Sasha jednak nie dała się przekonać.

Po śniadaniu czekali jeszcze ze dwie godziny, aż wreszcie Joseph z synem przywieźli upragniony pasek klinowy. Ross nerwowo przechadzał się po szosie, a słońce stało wysoko, kiedy zatrzymała się koło nich rozklekotana ciężarówka Josepha. Naprawa nie trwała długo i po półgodzinie znów byli w drodze.

Sasha marzyła już tylko o tym, żeby wejść pod prysznic; jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak brudna.

Po kolejnej godzinie jazdy wąską drogą, wśród zalesionych wzgórz, dotarli do Penbrooke House - skromnego bungalowu, otoczonego bujną zielenią i krzewami kwitnącej bugenwilli. Dom znajdował się na obrzeżu małego miasteczka.

Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze wysiedli z dżipa, i drobna blondynka w białej bluzce i tradycyjnej afrykańskiej tkaninie owiniętej wokół bioder wybiegła, aby ich powitać.

- Ross! Co się z tobą stało?

- Nic, nic. Mieliśmy małą awarię, tylko tyle.

- Martwiliśmy się o was. - Danielle zwróciła się do Sashy, w jej oczach widać było zaskoczenie. Ross dokonał prezentacji.

- Ty jesteś ciotką Vicky? - zapytała gospodyni z niedowierzaniem.

- Zdaje się, że oczekiwaliście tutaj jakiejś prawdziwej starej panny w ortopedycznych butach. Zaczynam być ciekawa, co Vicky wam o mnie naopowiadała.

Danielle uśmiechnęła się.

- Mniejsza o to. Chodźmy się czegoś napić, na pewno jesteście spragnieni. - Wprowadziła ich do obszernego pokoju, gdzie panował względny chłód.

Usiedli. W drzwiach natychmiast pojawiła się młoda Murzynka z dzbankiem mrożonej herbaty, szklankami i cytryną na tacy.

- Gdzie spędziliście tę noc? - zapytała Danielle, kiedy dziewczyna wyszła.

- W dziapie - odparł Ross, odgarniając włosy z czoła. - Oboje marzymy o tym, żeby się umyć. Jak tam u was z wodą? Można wziąć prysznic?

- Oczywiście, żaden problem. - Danielle zrobiła zapraszający gest. Sama wyglądała czysto i schludnie, co pogarszało jeszcze samopoczucie Sashy, która ostatni raz kąpała się przed wylotem ze Stanów, w Connecticut, całą epokę temu, jakby w innym życiu.

Kiedy tylko skończyli swoje drinki, gospodyni zaprowadziła ją do pokoju gościnnego, gdzie stały już jej bagaże.

Pod prysznicem czuła się jak w niebie; nareszcie mogła spłukać z włosów cały kurz podróży, z radością wdychała świeży zapach mydła i szamponu. Zdążyła właśnie włożyć czystą bawełnianą sukienkę i czesała włosy, kiedy ktoś

zapukał do drzwi. Była to Danielle ze szklanką w ręku. Przyniosła jej jeszcze coś do picia - dziwny, mlecznobiały słodki napój.

- Co to jest? Znakomite!

- To sok z owocu sop. To bardzo śmieszny owoc, zielony z dziwnymi bąblami na wierzchu. - Napotkawszy spojrzenie Sashy w lustrze, uśmiechnęła się. - Masz piękne włosy, to cudowny kolor, taki niezwykły.

- Dziękuję.

Danielle wciąż nie odchodziła, powstało między nimi jakieś napięcie; najwyraźniej przyszła tu nie tylko po to, żeby przynieść szklankę soku.

- Chciałabym z tobą przez chwilę porozmawiać - rzekła w końcu, potwierdzając tym samym przypuszczenia Sashy.

Sasha mimo woli przybrała postawę obronną. Nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale czuła, że atmosfera wokół niej jest jakaś dziwna, nie wiedziała tylko, o co chodzi.

- Oczywiście - odparła lekko.

- Ross zatrzymał się u nas po drodze do Akry. Był... zaniepokojony.

- Zauważyłam. - Sasha napotkała wzrok Danielle. - Nie miał ochoty targać ze sobą starej ciotki Vicky taki kawał drogi.

W błękitnych oczach Danielle widać było wahanie.

- Może i tak, ale nie o to właściwie chodzi.

- To o co? - Sasha zaczynała się już buntować. Ross najwyraźniej rozmawiał o niej z przyjaciółmi, nastawiał ich do niej nie najlepiej, mimo że nie widział jej jeszcze na oczy. Osądzali ją, zanim zdążyła się tu pojawić, nie dając jej żadnej szansy obrony. Co za cholerny facet i czego od niej chciał? Nic złego nie zrobiła ani nie zamierzała zrobić i nie widziała powodu, żeby się tłumaczyć czy bronić i to wobec tej nieznajomej kobiety.

- Chodzi o Vicky - odezwała się Danielle. - Domyślam się, że jej matka bardzo się o nią martwi i chciałaby, żeby wróciła do domu.

- To prawda. - Mając poza tym pięciu synów, Denise strasznie tęskniła za córką, zamartwiała się o nią i pragnęła jej powrotu. Przecież można to chyba zrozumieć?

Sasha czuła jednak opór przed omawianiem swych spraw rodzinnych gdzieś na drugim końcu świata i to z zupełnie obcą kobietą. Jej siostra miała jakieś swoje racje, można się było z nimi nie zgadzać, nie powinno to jednak nikogo obchodzić. Doskonale wiedziała, kto rozkręcił całą tę sprawę.

Danielle przygryzła usta, widząc, że Sasha nie zamierza jej tej rozmowy ułatwić.

- Wiem, że nie jest to moja sprawa, ale... Ross, Vicky i Jay są dla mnie ważni. Naprawdę robią tu na północy ważną robotę. Nie chciałabym, żeby którekolwiek z nich doznało krzywdy.

- Krzywdy? O czym ty mówisz?

- Vicky jest tu potrzebna. Jest wspaniałą instruktorką, kompetentną i świetnie zorganizowaną. Nie staraj się jej przekonać, żeby wróciła z tobą do Stanów; nie ma takiej potrzeby. Ona świetnie tu sobie daje radę. Wiem, oczywiście, że warunki życia są prymitywne, ale Ross i Jay się nią opiekują.

Dlaczego byli tacy przekonani, że mogła ją do czegokolwiek namówić? Vicky miała dwadzieścia trzy lata i wystarczająco silny charakter, żeby o sobie decydować. Wyjechała do Afryki mimo protestów matki, prawdopodobnie więc dalsze prośby nie skłoniłyby jej teraz do powrotu.

Sasha nie miała zamiaru nikomu tu niczego obiecywać; odczuwała tylko rosnącą złość na Rossa za to, że wpakował ją w tę całą idiotyczną sytuację, postanowiła jednak opanować się i niczego po sobie nie pokazać.

- Przyjechałam tu tylko z wizytą, chcę zobaczyć, jak ona sobie radzi - rzekła niezobowiązująco.

- Wszystko u niej w porządku, sama zobaczysz. - Danielle zamierzała już odejść. - Lunch będzie za dziesięć minut. Bardzo mi przykro, że nie ma Marka, wróci z pracy dopiero wieczorem, a Ross nie chce zostać na noc. Straszni są ci mężczyźni, ani chwili odpoczynku; boją się, że życia im nie starczy na to, co chcą zrobić. Ross i Jay ratują chorych, a Mark zapobiega chorobom przez budowę systemów wodnych. Banda pracoholików, nic ich już nie zmieni - wzruszyła ramionami.

- Pewnie lubią swoją pracę.

- O, tak! Oczywiście. Działają z prawdziwym poświęceniem; ich praca warta jest tego wysiłku.

Sasha kiwnęła głową ze zrozumieniem. Nałożyła makijaż i uznała, że jest gotowa.

Po lunchu, który składał się z kanapek z kurczakiem i świeżego ananasa, ruszyli w dalszą drogę. Po półgodzinie jazdy Sasha przypomniała sobie, że jej ukochany kapelusz z różyczką został, niestety, w Penbrooke House.

- Cholera - mruknęła pod nosem.

- Co się stało?

- Zostawiłam kapelusz, służący zaniósł go do domu i zapomniałam go wziąć.

- Nic mu się tam nie stanie, nawet lepiej, że został. Sasha momentalnie stłumiła irytację; nie mogła stracić panowania nad sobą, nie mogła pozwolić mu wyprowadzić się z równowagi. On tylko na to czeka, niech sobie czeka jeszcze długo, długo.

Ta podróż nie była dziecinną igraszką. Godzinami czekali na prom, który miał ich przewieźć przez Czarną Woltę. Noc spędzili w nędznym, pozbawionym klimatyzacji hoteliku. Następnego dnia jechali od świtu do zachodu słońca. Bujna

dżungla powoli zaczęła ustępować terenom suchszym i bardziej piaszczystym, o rzadszej roślinności. Powietrze także stało się suchsze. Mijali coraz biedniejsze i coraz bardziej od siebie oddalone wsie. Zaokrąglone gliniane chaty skupione były razem wokół centralnego placu, a cała wieś otoczona glinianym murem. Od czasu do czasu przy szosie widać było stado wychudzonego bydła.

Atmosfera w samochodzie, tak jak na zewnątrz, stawała się coraz bardziej napięta. Długa jazda dawała o sobie znać. Odzywali się do siebie coraz rzadziej, upał wysysał z nich resztki energii.

Po całym dniu jazdy nastąpiła kolejna noc w jakimś obskurnym hoteliku, gdzie do dyspozycji mieli jedynie wiadro wody.

I wreszcie kolejnego dnia po południu dotarli do Obalabi.

- Witaj w Obalabi - powiedział dwornie Ross.

Bogu dzięki, że nareszcie byli na miejscu. Sasha otrząsnęła się z otępienia po morderczo długiej, monotonnej podróży. Z zainteresowaniem wyjrzała przez okno.

Obalabi. Małe brudne miasteczko o niewybrukowanych ulicach, jednopiętrowych domkach i małych sklepikach. Wszędzie pełno ludzi i drobnych handlarzy, sprzedających plastikowe grzebienie, gumowe paski i węgiel drzewny. Przejechali obok targu, przyciągającego wzrok bogactwem kolorów i egzotyką. Wszędzie tętniło życie.

Kampus szpitalny mieścił się po drugiej stronie miasta. Były to bielone budynki połączone alejkami, ściany jaśniały w słońcu.

- A więc tutaj toczy się twoje życie - odezwała się Sasha.

- A gdzie mieszka Vicky? Pisała, że w pobliżu szpitala.

- Wszyscy tu mieszkamy, nasze domy są po drugiej stronie zabudowań szpitalnych. - Wskazał jej trzy bungalowy

skryte w cieniu wysokich drzew. - Jay i Nora mieszkają w tym pierwszym, w następnym Vicky, a mój jest ten ostatni.

Podjechał kawałek alejką i zgasił silnik. Sasha już chciała wysiąść, szczęśliwa, że ta nieznośna podróż dobiegła wreszcie końca. Marzyła, żeby rozprostować nogi. Ross jednak przytrzymał ją.

- Chwileczkę. - Surowo popatrzył jej prosto w oczy. - Pamiętaj, co ci mówiłem - powiedział cicho, lecz dobitnie.

- Vicky tu zostaje.

Sasha patrzyła na niego i czuła, że przechodzi ją dreszcz. Ten człowiek nie żartował, mówił w tej chwili śmiertelnie poważnie.

Tylko że ona też nie była w nastroju do żartów. Nie miała zamiaru dać się zastraszyć, a już szczególnie nie temu apodyktycznemu i aroganckiemu facetowi.

- Proszę mnie puścić - powiedziała cicho, za wszelką cenę usiłując zachować spokój.

Uwolnił jej rękę, nadal jednak nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - W jego głosie zabrzmiała wyraźna groźba.

Sasha wytrzymała to spojrzenie.

- Tak, słyszałam - odpowiedziała równie dobitnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sasha demonstracyjnie odwróciła się do Rossa tyłem i wysiadła z dżipa. Jeśli sądził, że zdoła ją nastraszyć, to grubo się pomylił. Frontowe drzwi domku otworzyły się i wyszła z nich Vicky.

Vicky zawsze kojarzyła się Sashy z beztroskim śmiechem, puchatymi kotkami, bukietami polnych kwiatów i czekoladowym ciastem; krótko mówiąc, ze szczęśliwym dzieciństwem. Jej siostrzenica wyrosła wśród pięciu braci, grała z nimi w piłkę, wspinała się na drzewa i pielęgnowała małe lub chore zwierzęta na farmie swoich rodziców.

Teraz Sasha przede wszystkim zwróciła uwagę na jej wagę. Vicky była chuda, za chuda, widać było, że od dawna nie jadła czekoladowego ciasta. Dawniej była raczej pulchna, teraz robiła wrażenie zagłodzonej.

I jeszcze coś dziwnego: wymuszony uśmiech, niepewność w oczach. Patrząc na swą siostrzenicę, Sasha poczuła lęk. Coś tu było nie w porządku. To nie była dawna Vicky - roześmiana, przypominająca żywe srebro. Co się z nią stało?

W ostatniej chwili ugryzła się w język i powstrzymała od uwag na ten temat. Serdecznie uściskała Vicky na powitanie. Rzeczywiście została z niej skóra i kości.

- Tak się cieszę, że cię widzę - powiedziała.

- Dobrze, że przyjechałaś - odpowiedziała Vicky, ale jej radość z tego faktu wydawała się trochę udawana.

Uśmiechnęły się do siebie, a Sasha uważnie przyjrzała się twarzy Vicky, okolonej ciemnymi lokami i dość bladej. Wesóły uśmiech nie był w stanie zamaskować wyrazu niepokoju i ostrożności kryjącego się w jej szarych oczach.

- Jaką miałaś podróż? - zapytała.

- Wspaniałą - odpowiedziała Sasha.

- Naprawdę?

- Tak. Była bardzo pouczająca. Wiele się nauczyłam na temat wytrzymałości. - Tu uśmiechnęła się miło do Rossa, który właśnie wnosił jej walizkę, jak przystało na prawdziwego dżentelmena.

- Jesteś zmęczona? - zapytała Vicky. - Oczywiście, że jesteś, co za głupie pytanie.

- Nie, nie - zaprotestowała Sasha dzielnie. - Przygoda rozwesela i dodaje siły.

Ross stał teraz oparty o dżipa i obserwował je z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Cieszę się, że wreszcie dojechaliście. - Vicky zwróciła się teraz do niego. - Może napiłbyś się czegoś? - W jej głosie słyhać było wahanie, jakby nie była pewna, czy powinna proponować mu drinka.

Pewnie po prostu się go boi, pomyślała Sasha.

- Nie, ja tylko przywiozłem ciotunię. Pędzę do Jaya, by zobaczyć, jak sobie daje radę, a potem muszę rozładować dostawę. Były jakieś problemy?

- Nic takiego, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić. Ostatniej nocy jedno cesarskie cięcie. Poza tym, wszystko normalnie - odpowiedziała Vicky spokojnie, profesjonalnym tonem.

- To dobrze. No, to do zobaczenia.

- Dziękuję za przywiezienie - powiedziała Sasha z wymuszonym uśmiechem.

Ich oczy spotkały się na moment, po czym. Ross kiwnął głową, siadł za kierownicą i odjechał w kierunku szpitala.

- O co chodzi? - Vicky popatrzyła na Sashę pytająco.

- Nie bardzo mogliśmy się ze sobą dogadać. To jakiś despotyczny i arogancki facet, prawda?

- Ależ skąd! - W oczach Vicky widać było zaskoczenie. - Jest wspaniały! To świetny lekarz; i on, i Jay, a Ross jest nawet kimś więcej niż lekarzem. On jest tu też głównym

administratorem. Jest odpowiedzialny za całe przedsięwzięcie i znakomicie mu to wychodzi!

W głosie siostrzenicy było tyle zapału i podziwu, że Sasha wyczuła, iż jakiegokolwiek dalsze narzekania na Rossa byłyby nie na miejscu i nie zostałyby zrozumiane. Jej uczucia wobec wielkiego doktora były najwyraźniej odosobnione, uznała więc, że lepiej będzie, gdy zatrzyma je dla siebie.

- Muszą być wyjątkowi, skoro zdecydowali się tu pracować - powiedziała pojednawczo. Zresztą, pewnie była to prawda. Nie każdy podjąłby się takiej pracy.

- A co do ciebie - wtrąciła niby mimochodem - to świetnie wyglądasz. Trochę schudłaś, prawda? - skomentowała jej odmieniony wygląd, jakby nie było w tym nic dziwnego.

- To pewnie z gorąca. - Vicky wzruszyła ramionami. - W tym upale nie bardzo chce się jeść; zresztą jedzenie nie jest tu urozmaicone, więc tak nie kusi jak w domu.

Brzmiało to dość wiarygodnie, ale Sasha czuła przez skórę, że Vicky coś ukrywa. Nie chciała jednak jej teraz wypytywać. Weszła za nią do środka i rozejrzała się ciekawie.

Były w skromnym pokoju o podłodze z surowych desek przykrytych okrągłą matą. Meble były tu proste; wszędzie leżały stosy kaset, płyt, czasopism i gier planszowych. W oknach wisiały bawełniane zasłony o tradycyjnych afrykańskich wzorach. Pod sufitem kręcił się wiatraczek, dzięki czemu panował tu miły chłód. Przytulne, domowe wnętrze.

Usiadły przy stoliku, a młoda dziewczyna imieniem Saamo wniosła tacę z napojami, postawiła ją i wyszła. Wyglądała sympatycznie.

- Jak tam mama? - zapytała Vicky z pewnym napięciem.

- Doskonale, wszyscy mają się świetnie. - Sasha opowiedziała o ostatnich wyczynach jej młodszych braci.

Vicky słuchała tego z uwagą, po czym wypaliła:

- Cieszę się, że tu jesteś, Sasha, że przyjechałaś mnie odwiedzić, ale mogę ci od razu powiedzieć, że nie wrócę z tobą do domu. Wiem, po co mama cię tu przysłała, ale ja tu zostaję. Nie miej żadnych złudzeń.

Sasha była dość zmieszana tym niespodziewanym wybuchem.

- Na miłość boską, Vicky, twoja mama wcale mnie tu nie „przysłała”! Odkąd to ona dyktuje mi, co mam robić?

- Dobrze wiesz, jak ona wszystkimi kręci - westchnęła Vicky. - Ile wysiłku i perswazji wymagało, żebym mogła podjąć tę pracę.

- Wiem - zaśmiała się Sasha.

- A teraz przysłała tutaj ciebie.

- Mówiłam ci, że nikt mnie nie przysyłał; zrobiłam to z własnej, nieprzymuszonej woli. Pomysł był twojej mamy, to prawda, ale należały mi się wakacje, Vicky. Uznałam więc, że nadarza się świetna okazja, żeby odwiedzić ciebie, a zarazem zaznać trochę dzikiej Afryki. Jeśli przy okazji udałoby mi się trochę uspokoić twoją matkę, tym lepiej.

- I nie zamierzasz siłą zabierać mnie z powrotem?

- No, nie wygłupiaj się, Vicky. Wyobrażałaś sobie, że wezmę cię na smycz i zaciągnę do samolotu?

- Chciałabym tylko, żeby mama wreszcie przyjęła do wiadomości ten drobny fakt, że ja mam własne życie i sama o nim decyduję, bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie. Mnie tu jest naprawdę dobrze; czuję, że biorę udział w czymś ważnym, podobnie jak Ross i Jay. To wspaniali lekarze, pełni poświęcenia.

- Mama będzie musiała się z tym pogodzić, prawda? Masz dwadzieścia trzy lata.

- Jej się wydaje, że dopiero skończyłam dziesięć. Pisze do mnie raz po raz, żebym nie zapomniała o myciu zębów.

- Żartujesz! - Sasha wybuchnęła śmiechem. Wreszcie jej nastrój udzielił się i Vicky; może sytuacja nie była aż tak podbramkowa.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i w pokoju pojawił się Ross. Przyniósł książkę, którą Sasha zostawiła w samochodzie. Najwyraźniej zaskoczyło go, że się śmieją; przyglądał się badawczo to jednej, to drugiej - jakby oczekiwał, że trafi tu na awanturę.

- No, widzę, że dobrze się bawicie - zauważył i wychodząc dodał: - Zobaczymy się później, Jay mówił mi, że jesteśmy zaproszeni na kolację.

- Tak, do zobaczenia - kiwnęła głową Vicky.

Po jego wyjściu poderwała się z miejsca, żeby pokazać Sashy jej pokój.

Był równie spartański, jak poprzedni. Stało tu wąskie łóżko, mały stolik i krzesło, parę półek i wieszaków na ubrania. Okno zasłaniał parawan. W sumie pokoik ten robił wrażenie zakonnej celi.

- Nie jest to Hilton, ale mam nadzieję, że ci wystarczy - powiedziała Vicky. - Nie ma tu klimatyzacji, ale nocą robi się chłodniej. Ta część Afryki to Sahel, niedaleko jest już Sahara.

- Nie muszę mieć luksusów, nie przejmuj się, Vicky. Przyjechałam tu zobaczyć ciebie i Afrykę, a przynajmniej jakąś jej część. - Sasha położyła na łóżku walizkę i otworzyła ją. Były tam rozmaite smakołyki, które jej siostra upiekła dla córki.

- Masz tu ciasteczka czekoladowe i orzechowe od mamy - powiedziała, podając Vicky sporą metalową puszkę. - A tu ode mnie figowe, twoje ulubione.

- Dzięki, wspaniale. - Vicky przycisnęła skarby do piersi, lecz jej reakcja była znów jakby wymuszona.

Sasha popatrzyła na nią uważnie.

- No, to może coś z tego zjemy - zaproponowała. - Marzę o filiżance kawy, nie miałybyś też ochoty?

- Nie, nie. - Vicky zaprotestowała gwałtownie, ale zaraz się poprawiła. - To znaczy, możemy napić się kawy, ale słodczyce chciałabym zostawić na jakąś specjalną okazję, żeby poczęstować innych. Nie masz nic przeciwko temu? My wszystkim się tu dzielimy, rozumiesz?

- Zrobisz, jak będziesz chciała, przecież to dla ciebie.

- Tu jest ciężko o jedzenie - ciągnęła Vicky. - Czasem jeździmy po zakupy do Burkina Faso albo do Ouagadougou. Tam można dostać dużo dobrych rzeczy, wszystko importowane z Francji - brzoskwinie, jabłka, sery, ale to za daleko, żeby jeździć tam co tydzień. - Vicky wyszła, żeby odnieść słodczyce, Sasha zaś wciąż nie mogła ochłonąć. To nie była dawna Vicky. Ta dziewczyna, którą Sasha знаła, natychmiast zabrałaby się do jedzenia i za jednym zamachem pochłonęłaby z pół torby. Coś tu było nie tak.

Wzruszyła ramionami i popatrzyła przez okno. Widać stąd było skupisko okrągłych lepierek z czerwonej gliny krytych strzechą. Jakaś świnia grzebała ryjem w wyschniętej ziemi; kobieta owinięta kolorową tkaniną szła z gracją, niosąc na głowie potężną kiść bananów. Tutaj był inny świat, bez wątplenia, a przecież warunki życia zmieniają ludzkie zachowanie. To nieuniknione.

Tego wieczora wszyscy spotkali się na kolacji u Jaya i Nory Branscomów. Sasha siedziała na werandzie akurat naprzeciw Rossa, sączyła dżin z cytryną i żałowała, że on też tu jest. Wciąż na nią patrzył, a jej także nudno było omijać go wzrokiem. W białych spodniach i lekkiej koszuli wyglądał świeżo i atrakcyjnie.

Zajęła się obserwowaniem pozostałych.

- My gośćmi też się tutaj dzielimy - wyjaśniła jej wcześniej Vicky. - Chętnie spotykamy się wszyscy razem, kiedy ktoś do nas przyjeżdża.

„My” - oznaczało Jaya, jego żonę Norę, Rossa, Vicky i Jochena, niemieckiego inżyniera, oraz dwoje ochotników z Korpusu Pokoju, siwiejącą Dunkę, która paliła fajkę i zajmowała się antropologią, i chudego Irlandczyka, lingwistę, studiującego miejscowy dialekt.

Była to dziwna zbieranina ludzi i Sasha z zainteresowaniem przysłuchiwała się ich równie dziwnej rozmowie.

Przedtem zdążyła przespać się dwie godziny, a po prysznicu i wypiciu jeszcze jednej mrożonej herbaty poczuła się jak odrodzona. Nałożyła długą, kwiecistą spódnicę i jedwabną bluzkę bez rękawów, upięła włosy wysoko i była gotowa na spotkanie całego tutejszego towarzystwa.

Bungalow Jaya i Nory był większy niż domek Vicky, lecz równie prosty i przytulny. W dużym pokoju wiatrak kręcący się bezustannie pod sufitem zapewniał miły chłód. Jedna ze ścian była całkowicie zastawiona półkami pełnymi książek, a cały pokój udekorowany wszelkiego rodzaju wytworami afrykańskiej sztuki i rzemiosła - tkaninami, rzeźbami, ceramiką i wielkimi koszami, które tu wyplatano. Nie było natomiast telewizora ani wieży stereo, przynajmniej nic takiego Sasha nie zauważyła.

- Może jeszcze drinka? - zwrócił się do niej Jay, wysoki, szczupły mężczyzna z bujną siwą czupryną. Miał sposób bycia przyjazny i bezpośredni, podobnie jak jego żona, Nora. Nora była pielęgniarzką - położną i odwiedzała okoliczne wioski, szerząc oświatę medyczną wśród tutejszych tradycyjnych akuszerów.

- Tak, poproszę. - Sasha podała Jayowi swoją szklanę.

Pytano ją o podróż i o jej pierwsze wrażenia po przyjeździe do Afryki; Sasha jednak przez cały czas świadoma była tego, że Ross ją obserwuje i uważnie przysłuchuje się rozmowie. Tak jakby czekał, że zacznie się skarżyć na upał, kurz, brud i niewygody.

Starła się unikać jego spojrzenia, uśmiechała się promiennie, mówiła, jak rozwijającym doświadczeniem jest dla niej przyjazd do Ghany i zetknięcie z afrykańską rzeczywistością. Przez cały czas jednak nie opuszczało jej dziwne napięcie, nie była w stanie zapomnieć o jego obecności.

Vicky zachwycała się Rossem, mówiła, że jest wspaniałym lekarzem i świetnym administratorem, ale czy to musiało również oznaczać, że jest wspaniałym człowiekiem?

Sasha nie rozumiała, dlaczego ten mężczyzna działa na nią tak mocno, w sposób nieomal magnetyczny.

Tutaj wydawał się inny niż podczas ich wspólnej podróży. Może chodziło o to, że teraz był wypoczęty i spokojny, a źle się czuł z dala od szpitala.

- To jak długo tu z nami zostaniesz? - zapytał ją Jay,

- To zależy, jak długo Vicky ze mną wytrzyma - odpowiedziała lekkim tonem, świadoma, że Ross nie odrywa od niej wzroku. - Przyjazd do Afryki to dla mnie nie lada okazja i chciałabym się dowiedzieć, jak tu jest. Może spotkam tu swoje przeznaczenie, dodała w duchu, wołała jednak nie dzielić się ze wszystkimi historią o Cygance, która jej to przepowiedziała.

- Większości przyjezdnych wystarcza jeden rzut oka na Obalabi, widzą, jak tu sucho i jaki kurz, i zaraz ruszają dalej.

- Wy jednak znaleźliście tu coś więcej, skoro zdecydowaliście się zostać - stwierdziła, patrząc na obecnych.

Ross zmrużył oczy, a ona uśmiechnęła się jeszcze promiennie.

- Nie patrz tak podejrzliwie, Ross - powiedziała wesoło. Pytała ich o szpital, o pracę, o ludzi, a Jay odpowiadał

gorliwie, zaproponował nawet, aby któregoś dnia wybrała się z Rossem na obchód, obejrzyć jego „ciekawe przypadki”.

- Przecież ona wcale nie musi interesować się medycyną tropikalną - wtrącił sucho Ross.

- Przeciwnie, bardzo mnie to interesuje - zaprotestowała Sasha, zanim zdążyła ugryźć się w język. - Mam bardzo rozległe zainteresowania.

Ross znów obrzucił ją uważnym spojrzeniem, czuła to.

- Gra też w pokera, sama mi mówiła, i nosi okropne kapelusze.

- Ross! - upomniała go Nora ze śmiechem, jak upomina się niegrzecznego chłopca.

- Podczas trzydniowej podróży można się poznać - rzekł. - Nie martwcie się, z niej jest twarda sztuka, prawda, ciociu?

Sasha uśmiechnęła się czarująco.

- On się mnie boi, tylko stara się tego nie okazywać - oświadczyła, powodując wybuch wesołości u całego towarzystwa; tylko Vicky wydawała się zaszokowana.

Kolacja składała się z wołowiny z ryżem i sosem warzywnym oraz smażonych bananów. Wszyscy jedli z apetytem, a ciasteczka, które Vicky przyniosła na deser, wzbudziły ogólny entuzjazm i momentalnie znikły.

To spotkanie w niczym nie przypominało spotkań towarzyskich, w których Sasha dotąd uczestniczyła. Panowała tu jakaś szczególna atmosfera przyjaźni i wspólnoty, ci ludzie tworzyli swego rodzaju rodzinę. Sasha czuła się wśród nich bardzo dobrze, a ten wieczór sprawił jej prawdziwą przyjemność.

Przez cały czas dyskretnie obserwowała Vicky. Dziewczyna była wesoła i ożywiona i najwyraźniej bardzo zakochana w Jochenie. To było dla Sashy zupełnie

zrozumiałe: młody Niemiec był sympatycznym, spontanicznym człowiekiem, pełnym entuzjazmu dla swojej pracy. Miał dobre ciemne oczy, patrzące na Vicky z miłością.

Denise nic nie wspominała o Jochenie; bardzo możliwe, że córka nie uznała za stosowne poinformować matki o jego istnieniu. To Sasha też była w stanie zrozumieć; Denise zaraz wpadłaby w rozpacz, przewidując, że jeśli córka wyjdzie za mąż za Niemca pracującego w Afryce, to tak czy owak będzie już dla niej stracona.

Mimo całej wesołości, jaką demonstrowała Vicky, Sasha nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej przyjazd nie był raczej po myśli siostrzenicy. Piła kawę i starała się odsunąć od siebie te myśli.

Wkrótce potem wszyscy zaczęli się rozchodzić. Vicky wychodziła z Jochenem, obiecując, że niedługo będzie w domu; z wahaniem popatrzyła na Rossa.

- Może Ross cię odprowadzi - zaproponowała Sashy.

- To zbyt bezpieczne, myślę, że jakoś trafię sama.

- I tak wychodzę. - Ross wstał z miejsca.

Szli obok siebie w ciemności pełnej nieznanymi Sashy zapachów i dźwięków. Idąc przy nim tak blisko, szczególnie mocno czuła energię emanującą z tego mężczyzny.

- Co właściwie dzieje się z Vicky? - zapytała, nie mając większej nadziei, że się czegoś dowie.

Ross uniósł brwi.

- O co ci chodzi? - Jego twarz w bladym świetle księżyca miała tajemniczy wyraz.

- Jest jakaś inna, nie wiem, co to jest. Udaje wesołość, ale nie jest naturalna.

- Życie tutaj zmienia ludzi, to nieuniknione.

Może rzeczywiście to było to; w głębi duszy Sasha nie wierzyła jednak w takie tłumaczenie.

- Czy to normalne, żeby aż tak schudnąć?

- To nic niezwykłego. Upał sprawia, że nie ma się tu apetytu, pewnie już to zauważyłaś.

Rzeczywiście, ona też mniej tu jadła. Może więc wyolbrzymiała całą sprawę; przypomniała sobie jednak Denise i jej przeczucie na temat córki: „Może nie powinnam się martwić, ale nie mogę. Mam jakieś obawy co do Vicky, sama nie wiem, dlaczego”.

Sasha nie zwróciła wtedy na to uwagi. Denise zawsze miała dziesiątki przeczuć na temat swoich dzieci. Trudno byłoby za tym nadążyć. A teraz dodatkowo, kiedy jej jedyna córka była gdzieś w dalekim zakątku Czarnej Afryki, jej serce matki nie miało już chwili spokoju.

Sasha miała mieszane uczucia; ten świetny lekarz powiedział, że nie ma powodu do niepokoju, lecz jej głos wewnętrzny mówił co innego.

Dobrze byłoby wiedzieć coś na pewno.

Następnego dnia obudziło ją gdakanie kur za oknem. Było jeszcze wcześniej, lecz Vicky wyszła już do szpitala. W kuchni Sasha zastała Saamo, która podała jej kawę. Dziewczyna mówiła łamaną angielszczyzną, ale można było się z nią porozumieć.

Kuchnię stanowiła maleńka klitka, gdzie stała lodówka, mały piecyk i szafka, której nogi ustawione były w puszkach z wodą; przeciwko robactwu, jak wyjaśniła Saamo.

Sasha zastała też liścik od Vicky, zapraszający ją do odwiedzin w szpitalu, jeśli będzie chciała zobaczyć, jak pracują. Klinika dla małych dzieci czynna była od dziewiątej, Ross zaś zaczynał obchód o ósmej.

Ponieważ w okolicy nie było ani centrum handlowego, ani muzeów, Sasha uznała, że jest to całkiem niezła propozycja.

Po śniadaniu składającym się z ciemnego chleba z dżemem z mango i kilku plasterków owocu paw paw, wzięła prysznic, ubrała się w krótką białą spódnicę i luźną szafirową

koszulę, po czym wyruszyła do szpitala, który w porannym świetle jawił się jako oaza spokoju i bezpieczeństwa.

Ładna czarna pielęgniarka w nieskazitelnie białym ubraniu wskazała jej drogę do gabinetu lekarzy, sama zaś poszła poszukać doktora Granta. Nadszedł wkrótce, też w białym fartuchu, ze stetoskopem zwisającym mu z kieszeni.

- Dzień dobry - powitał ją z pewnym zdziwieniem w oczach.

- Dzień dobry. - Sasha poczuła, że serce bije jej gwałtowniej. Ross wyglądał tu całkiem inaczej: lekarz w każdym calu, poważny i godzien zaufania. I bardzo męski.

- Nie oczekiwałem, że cię tu zobaczę - rzekł swym uprzejmym, zawodowym tonem.

- Dlaczego nie?

- Sądziłem, że będziesz spać do południa. Roześmiała się.

- To nie ja. Mnie ciągle gdzieś niesie. Proszę mnie oprowadzić, doktorze.

- Chodźmy, tylko przedtem to nałóż. - Zdjął z wieszaka biały fartuch i rzucił Sashy. Wymaszerował z gabinetu, a ona za nim. Zaprowadził ją na oddział męski, gdzie znajdowało się dziesięć łóżek.

Z zainteresowaniem patrzyła, jak rozmawiaj z pacjentami w ich języku, nie czuła jednak potrzeby, żeby ktoś jej to tłumaczył. Ważny był ton jego głosu, uśmiech, łagodność. Człowiek, którego teraz widziała, w niczym nie przypominał tego gburowatego, władczego mężczyzny, z którym podróżowała. To był prawdziwy lekarz, profesjonalista, spokojny i opanowany.

Usiadł przy łóżku i przez dobre dziesięć minut rozmawiał z jakimś starszym mężczyzną o bystrych oczach i godnym wyrazie twarzy. Pomarszczona twarz tego człowieka poprzecinana była bliznami plemiennymi. Pięć dni temu amputowano mu nogę. Był to wynik złamania, w które wdała

się gangrena, mężczyzna bał się bowiem zgłosić do lekarza. Kiedy wreszcie rodzina zdecydowała się przywieźć go do szpitala, nogi nie dało się już uratować.

- Dlaczego nie zgłosił się wcześniej? - zapytała Sasha, kiedy przechodzili na inny oddział. - Przecież to musiało piekielnie boleć.

- Ze strachu. Ludzie tu wierzą, że w szpitalu się umiera, i dlatego zwlekają z przyjściem, jak długo tylko się da. W rezultacie jest to samospelniająca się przepowiednia; jeżeli czekają zbyt długo, często jest zbyt późno, żeby im pomóc. i dlatego wielu z nich rzeczywiście w szpitalu umiera - zupełnie niepotrzebnie, z niewiedzy. To jeden z naszych największych problemów.

- A co mówiłeś temu staruszkowi?

- Staralem się mu wytłumaczyć, że gdyby przyszedł do nas wcześniej, nie straciłby nogi, a gdyby zwlekał jeszcze jeden dzień więcej, pewnie by umarł. Tłumaczę to tym ludziom w nadziei, że kiedy wrócą do swoich wiosek, powtórzą to innym, i tym sposobem, powoli, powoli pozbędą się lęku przed nami i przed leczeniem.

Następnie przeszli na oddział kobiecy, potem na dziecięcą. Dzieciom oczy błyszczały na widok Rossa. Dla każdego z nich miał jakiś ciepły gest, uśmiech, uścisk.

- Spójrz na tego młodego człowieka - pokazał jej dziesięciolatka, któremu pomógł wstać z łóżka. - Nie mógł dotąd normalnie chodzić, urodził się z wadą stóp, miał je wykręcone w przeciwną stronę. W zeszłym tygodniu zrobiliśmy mu ostatnią operację. Tylko że to należało zrobić, kiedy był niemowlęciem.

Zwiedzali szpital, aż nadeszła pora na wizytę w klinice małych dzieci, gdzie pracowała Vicky. Ross wskazał Sashy drogę do kliniki i odszedł.

Klinika mieściła się w przestronnym pomieszczeniu, wyposażonym w długie drewniane ławy i tablicę. Na ścianach wisiały plakaty wysławiające zalety karmienia piersią, szczepień ochronnych i zachowania higieny.

W chwili kiedy Sasha weszła, siedział tu tłum barwnie ubranych kobiet z dziećmi na kolanach lub w zawiniątkach na plecach.

Jej wejście wywołało nie ukrywane zainteresowanie, nagle oczy wszystkich tych kobiet zwróciły się na nią. Uśmiechnęła się do nich z zakłopotaniem, stwierdzając, że jest tu jedyną białą i to w dodatku z rudymi włosami. Stanowiła ciekawostkę, niewątpliwie godną wnikliwej obserwacji.

- Dzień dobry - zagała grzecznie.

Kobiety uśmiechały się do niej w odpowiedzi i mówiły coś, czego oczywiście nie rozumiała. Było to pewnie powitanie w ich miejscowym dialekcie. Dzieci szeptały do siebie, chichotały lub po prostu się na nią gapiły.

W pewnej chwili kto inny przykuł ich uwagę. W drzwiach do kliniki pojawił się Ross, szukając Vicky.

- Wygląda na to, że wszyscy tu na nią czekają - stwierdziła Sasha.

- A ty stanowisz dla nich niezłą rozrywkę - zauważył.

- Nie miałam takich intencji, ale życie dostarcza różnych dziwnych doświadczeń.

- Prawda? - Ross popatrzył na nią uważnie, po czym podszedł bliżej, ujął w palce pasemko jej włosów i powiedział coś do kobiet, co wzbudziło ogólny śmiech.

- Co im powiedziałeś? - chciała wiedzieć Sasha.

- Powiedziałem im, że w moim kraju wszystkie czarownice mają rude włosy.

- Nie!

- Nie, nie bój się - uspokoił ją. - Gdybym im coś takiego powiedział, wymiotłoby je stąd momentalnie i żadna by się nie śmiała.

- Ludzie tutaj wierzą w czarownice?

- Raczej się o tym nie mówi, ale zdarzają się dziwne rzeczy. Utrzymuje się wiara w juju, rozmaite praktyki magiczne nadal tu mają miejsce. To nie są żarty.

W tej chwili nadeszła Vicky w towarzystwie dwóch czarnych pielęgniarek praktykantek, które również patrzyły na Sashę z ciekawością. Vicky dokonała prezentacji, Ross po chwili odszedł, a one spędziły następne kilka godzin bardzo pracowicie. Sasha z zainteresowaniem obserwowała procedurę badania małych pacjentów, połączoną z wykładem na temat właściwego ich odżywiania. Przepiękne były te małe, czarne twarzyczki, z szeroko otwartymi, wlepionymi w nią oczami. Sasha czuła jednak, że dzieci trochę się jej boją. Było to dla niej coś nowego.

Obserwując Vicky podczas pracy, zastanawiała się, jakie jeszcze nowe doświadczenia ją tu czekają, i na myśl o tym poczuła nie tylko podniecenie, ale i lęk.

Czymś, co Sashy od razu rzuciło się w oczy, był panujący w Obalabi duch wspólnoty. Przyjaciele Vicky często spotykali się, wymieniali między sobą książki, przekazywali sobie najświeższe wiadomości. Sasha uwielbiała takie spotkania.

Zauważyła jednak, że Ross dość mało uczestniczył w tutejszym życiu towarzyskim. Trzymał się nieco na uboczu i wiele wieczorów spędzał w swym gabinecie w szpitalu, pracując. Wszyscy wyrażali się o nim w samych superlatywach i z wielkim szacunkiem; uważany był nie tylko za świetnego lekarza, ale również za znakomitego organizatora i administratora. Pod jego kierownictwem szpital funkcjonował jak dobrze naoliwiona maszyna, co w tym kraju borykającym się z ubóstwem było nie lada osiągnięciem.

Ross, jak się dowiedziała, był rozwiedziony. Jego żona Angela była piękną dziewczyną z dobrej nowojorskiej rodziny. Ponoć interesowała się głównie swoimi paznokciami. Nic więcej Sasha nie zdołała się dowiedzieć, najwyraźniej osoba Angeli nie stanowiła tu interesującego tematu rozmów.

Swoją drogą, ciekawe, dlaczego ich małżeństwo się rozpadło. Czyżby miało to coś wspólnego z jej paznokciami? Sasha mimo woli popatrzyła na swoje - były ładne, dobrze utrzymane, starannie pomalowane perłowym lakierem.

- Joe przyjechał - ogłosiła Vicky któregoś popołudnia.
- Wydaje przyjęcie, wszyscy jesteśmy zaproszeni.
- Kto to jest Joe? - zapytała Sasha, nie mając pojęcia, o kogo chodzi.

- Joe Doranga - powiedziała Vicky, dodając, że Joe to tutejszy człowiek sukcesu. Syn miejscowego wodza, który kształcił się w Ameryce, a mówiąc ściśle, studiował biznes na Harvardzie. Obecnie był właścicielem wielkiej firmy budowlanej w Akrze, mocno zaangażowanym w politykę. W Obalabi miał wielki dom, który służył mu jako azyl, kiedy chciał trochę odpocząć od swych zajęć w stolicy.

Przyjęcia, jakie od czasu do czasu wydawał, cieszyły się dużym powodzeniem; wyczekiwano ich z niecierpliwością.

W sobotę wieczorem pojechały tam samochodem z Jayem i Norą. Sasha ze zdumieniem patrzyła na wielką, nowoczesną rezydencję, stanowiącą przedziwny kontrast z ubogimi lepiankami tego miasteczka.

Sam Joe okazał się wysokim, przystojnym młodym człowiekiem ubranym według ostatniej zachodniej mody. Trudno było uwierzyć, że ten światowiec wychował się w zwyczajnej afrykańskiej chacie.

- On tu rzadko bywa - szeptała Vicky do ucha Sashy - ale kiedy przyjeżdża, zawsze wydaje przyjęcie. O, przyszedł

Jochen! - Na widok ukochanego wystrzeliła z miejsca jak rakietą, zostawiając Saszę w towarzystwie Jaya i Nory.

Rossa nie było, podobno jeszcze pracował i czekał na telefon ze Stanów.

Rzeczywiście, pojawił się po godzinie, a Sashy serce zabiło mocniej na jego widok.

Wziął sobie z barku drinka i widząc, że stoi sama, podszedł do niej.

- Jak się tu czujesz? - zagadnął.

- Świetnie, to wspaniałe przyjęcie.

- Lubisz przyjęcia? - zapytał znacząco, jakby chciał dać jej do zrozumienia, co on sam sądzi o tego rodzaju imprezach.

Ten ton trochę ją rozzłościł.

- Oczywiście, że lubię - odpowiedziała jednak beztrąsko.

- A ty nie?

- Nieszczerólnie. - To było dość oczywiste; miał ważniejsze sprawy niż życie towarzyskie.

- Piękny dom - Sasha zmieniła temat, popatrzyła na nowoczesne meble i zdecydowanie zachodni wystrój wnętrza.

- Nie spodziewałam się zobaczyć czegoś takiego akurat tutaj.

- Wielu ludzi, którzy zrobili majątki w Akrze, buduje takie domy w swych rodzinnych miejscowościach. W głębi posiadłości są mniejsze domki dla krewnych właściciela, którzy opiekują się rezydencją, kiedy go nie ma - wyjaśnił Ross.

- To taki afrykański socjalizm. Robisz pieniądze, po czym otaczasz opieką całą swą szeroko pojętą rodzinę. Joe dużo zrobił dla swojej wioski; zbudował studnię i system nawadniający - to dla tych ludzi bardzo ważne.

Ross świetnie dziś wyglądał, obcisłe spodnie i koszula z krótkimi rękawami dobrze podkreślały jego zgrabną sylwetkę.

- Czy nie masz jeszcze dość? - zapytał.

- Dość czego? Tego przyjęcia? Przecież dopiero godzinę temu przyjechaliśmy.

- Nie, nie przyjęcia. Tego cudownego życia w Obalabi.

- Nie, ani trochę, świetnie się tu czuję - odparła Sasha z entuzjazmem. Rzeczywiście, mimo upału przepełniała ją energia i radość życia.

- Naprawdę? A czym się tu zajmujesz?

- Piszę listy do moich dziadków, którzy są w domu spokojnej starości - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Poza tym czytam o praktykach magicznych Afryki Zachodniej, o juju. Znalazłam świetną książkę na ten temat. No, i robię zakupy ~ uśmiechnęła się promiennie. - Ten tutejszy targ jest niesamowity, uwielbiam tam chodzić.

Ross popatrzył na nią z niedowierzaniem. Co mogło jej się tam podobać: stosy kukurydzy, garnki i patelnie, muchy, gołe dzieciaki, brud?

- Tam jest tak barwnie - ciągnęła Sasha z entuzjazmem. - Lubię przyglądać się kobietom na targu.

Nie miała zamiaru mu opowiadać, jakim szokiem był dla niej panujący tam brud i smród, postanowiła bowiem patrzeć na wszystko od jasnej strony.

Sasha była ciekawą świata osobą i każde nowe doświadczenie było dla niej cenne. Ten targ też stanowił doświadczenie, niepodobne do żadnych innych. Lubiała się targować z miejscowymi kobietami, gestykulując żywo, one zaś reagowały w sposób szczerzy i spontaniczny.

- I cóż tam kupujesz, co cię tak zachwyca?

- Tutejsze materiały - odpowiedziała bez wahania. Zakupiła już cały stos sztuk materiału o najrozmaitszych deseniach i kolorach. Pokusa, jaką stanowiły dla niej te egzotyczne tkaniny, była nie do odparcia. - To wszystko jest bardzo pouczające. - Jego sceptycyzm wcale jej nie zrażał. - Umiem już nawet liczyć do dziesięciu.

- Czyli cud za cudem - skwitował z przekąsem. - Pozwól jednak, że dam ci jedną radę: od juju trzymaj się z daleka; sama nie wiesz, w co się pakujesz. Ludzie mogą krzywo patrzeć na to, że wsadzasz nos w nie swoje sprawy. A teraz pozwolisz, że cię przeproszę?

Przez cały wieczór, kiedy rozmawiała z Joem i jego gośćmi, uwagę Sashy absorbował jednak Ross. Zauważyła, że cieszy się on wielkim zainteresowaniem kobiet. Siostra Joego, czarnoskóra piękność w długiej, odsłaniającej ramiona sukni, przez dłuższy czas bawiła go rozmową, a ochotniczka z Korpusu Pokoju najwyraźniej była w nim zakochana, podobnie zresztą jak Christine - antropolog. Nie było w tym dla Sashy nic dziwnego. Ross był przecież atrakcyjny, a ponadto wolny. Jego powściągliwy sposób bycia tym bardziej prowokował, stanowił dla kobiet wyzwanie.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że te damskie awanse wobec Rossa coraz bardziej ją denerwują. Zdecydowanie nie podobało się jej, że kobiety patrzą na niego z jawnym uwielbieniem. Czowała się przez nie na swój sposób... zagrożona.

Jesteś o niego zazdrosna. Ta myśl raziała ją jak piorun z jasnego nieba i w tej samej chwili napotkała wzrok Rossa. Poczwała ogarniającą ją falę gorąca.

Zazdrosna! Tylko to dudniło jej w głowie. Jestem zazdrosna! Zazdrosna! Zazdrosna!

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Słabo ci? - Jakby przez gęstą mgłę dotarł do niej czyjś głos i jednocześnie poczuła, że podtrzymuje ją silne męskie ramię. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą twarz Rossa, obserwującego ją z zawodową wnikliwością.

- Nie, nie, wszystko w porządku - skłamała, mimo że ogarniała ją panika. Co to właściwie było?

- Wyglądałaś, jakbyś miała zaraz zemdleć. Podtrzymał ją jedną ręką, drugą zaś ujął jej nadgarstek, chcąc zbadać puls, Sasha jednak wyrwała mu rękę. Ta bliskość była nie do zniesienia, jej serce tłukło się jak szalone, nie mogła dopuścić, żeby to usłyszał.

- Jeszcze nigdy nie zemdlałam i teraz nie mam zamiaru - odburknęła. Odetchnęła głęboko i wyprostowała się, mając nadzieję, że ją puści. Ross jednak trzymał ją mocno.

Pachniał świeżością, dobrą wodą po goleniu i mydłem. Sasha czuła jego ciepło; uświadamiała sobie przedziwną sprzeczność uczuć, których doświadczała - dojmującą potrzebę jego bliskości, a jednocześnie chęć ucieczki i lęk przed tym człowiekiem.

Chciała, by przyniósł jej kolejnego drinka, Ross jednak kategorycznie odmówił. Jego apodyktyczny ton po raz kolejny wzbudził w niej złość.

Kiedy w końcu zdołała wyzwolić się z jego opiekuńczego uścisku, dość chwiejnym krokiem skierowała się do łazienki, ale widok własnej twarzy w lustrze wcale jej nie uspokoił. Była rozpalona jak w gorączce, naprawdę nie rozumiała, co się z nią dzieje.

Jeżeli te kobiety mają taką ochotę na Rossa, to proszę bardzo. Niech sobie go wezmą, razem z jego urodą, dyplomem lekarskim i całym dobrodziejstwem inwentarza. Jej przecież wcale na nim nie zależy!

Przyczesła się, poprawiła makijaż i wychodząc z łazienki, o mało na niego nie wpadła, bo już tu na nią czekał.

- Przecież mówiłam, że nic mi nie jest - prychnęła; ta jego nagła troskliwość znowu ją rozzłościła, ale i trochę wzruszyła.

Chciała go minąć, ale ją zatrzymał.

- Chwileczkę, gdyby zdarzyła ci się znowu taka... zapaść, to proszę przyjdź do mnie do gabinetu, żebym mógł cię zbadać. Albo idź do Jaya.

Dobre sobie, żeby mógł ją zbadać. Na samą myśl o tym, że miałyby się przed nim rozbierać, zrobiło jej się gorąco.

- Miesiąc temu miałam dokładne badania kontrolne, jestem zdrowa jak ryba - powiedziała, siląc się na swobodny ton. Cóż, nie dolegało jej nic prócz gwałtownego przyływu zazdrości, który o mało nie zbił jej z nóg; tego jednak nie zamierzała Rossowi tłumaczyć.

Na szczęście w tym momencie pojawił się przy nich Joe.

- No i jak ci się tutaj podoba? - zwrócił się do Sashy.

- Jest cudownie, chociaż czuję się lekko schizofrenicznie - odpowiedziała, uśmiechając się, szczęśliwa, że uwolnił ją od Rossa. - Jakoś nie mogę uwierzyć, że jestem w Afryce.

- Bo to jest schizofreniczne - odpowiedział z nikłym uśmiechem.

Rozumiała, o co mu chodzi: był człowiekiem należącym do dwóch światów, a to z pewnością nie było łatwe.

Podobał jej się. Był obyty i inteligentny i bardzo ciekawie opowiadał jej o dzieciństwie spędzonym w wiosce niedaleko Obalabi i o swych doświadczeniach z okresu studiów w Ameryce.

To było najciekawsze przyjęcie, na jakim kiedykolwiek była.

Coraz bardziej jej się tutaj podobało. Postanowiła, że jeżeli tylko Vicky z nią jeszcze wytrzyma, nie będzie się śpieszyć z wyjazdem.

- Co masz zamiar robić z tym wszystkim? - zapytała następnego dnia Vicky, patrząc na rosnący wciąż stos materiałów w pokoju Sashy.

- Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę - roześmiała się Sasha. Rzeczywiście miała nadzieję, że coś ciekawego z tego będzie. Jej zainteresowanie tutejszymi tkaninami w tradycyjne afrykańskie wzory zaczynało przypominać obsesję. Stoiska z materiałami przyciągały ją z nieodpartą siłą.

Saamo miała siostrę, która pracowała jako szwaczka w małym warsztacie krawieckim w miasteczku. Sasha naszkicowała prostą sukienkę, zapisała swoje wymiary i zaniósła jej to wraz z jedną sztuką materiału zakupioną na targu.

Używając niewielu słów, za to wielu gestów, którym raz po raz towarzyszyły wybuchy śmiechu - uzgodniły, że sukienka będzie gotowa następnego dnia. To miała być próba.

Warsztat stanowiło jedno małe pomieszczenie, gdzie przy dość staromodnych maszynach pracowały dwie młodziutkie bosonogie dziewczyny.

Pod sufitem skrzypiał zardzewiały wiatraczek, rozwiewający po betonowej podłodze ścinki materiału.

W rezultacie po trzech dniach sukienka była gotowa i chociaż uszycie pozostawiało nieco do życzenia, pasowała na Sashę świetnie. Młode szwaczki nie mogły się nadziwić, że Sasha wybrała zwykły materiał z targu zamiast jakiejś modnej, zachodniej tkaniny. Zadziwiała je ta pani i jej rude włosy, wyglądające jak farbowane.

Wróciła do domu w bardzo wesołym nastroju, a ledwie weszła, pojawił się Ross.

- Przyszło mi do głowy, że dobrze będzie, jeśli dam ci znać, że Jay pojutrze jedzie do Akry - powiedział bez zbędnych wstępów. - Jeślibyś chciała, żeby cię zawiózł na lotnisko, zrobi to z przyjemnością. - Mówił spokojnym,

chłodnym tonem, jak zwykle; stał z rękami w kieszeniach i patrzył na nią w nieprzenikniony sposób.

- Nadal chcesz się mnie pozbyć? - zapytała.

- Mówię tylko, że jest okazja, żeby się zabrać do Akry.

- Co ty masz przeciwko mnie, Ross? - Sasha popatrzyła na niego uważnie.

- Nic, ciociu, nic. Zastanawiam się tylko, jak możesz się tu dobrze czuć, nic nie robiąc. Nie umierasz przypadkiem z nudów?

- Ani trochę. - Wzruszyła ramionami. - Czas wcale mi się nie dłuży.

- Bo czytasz książki?

- Tak, i sprawia mi to wielką przyjemność. - Rzeczywiście, po raz pierwszy od dawna Sasha miała wreszcie dość czasu na czytanie i mogła swobodnie zanurzyć się w innym, fikcyjnym świecie. - Poza tym mam wielką frajdę z zakupów i poznawania tutejszych ludzi. - Uśmiechnęła się radośnie. - Lubię targować się z kobietami na bazarze.

- Nie czujesz potrzeby, żeby spędzać czas w jakiś bardziej pożyteczny sposób?

Ach, więc pan doktor nie mógł znieść jej lenistwa i beczynności. Jego praca była niewątpliwie ważna i sensowna, ale nie mógł ścierpieć, że ona marnuje czas lub zabija go, czytając kryminały.

- Nie. - Sasha potrząsnęła głową przecząco. Od trzech lat nie miała wakacji, a jej dni wypełnione były pracą bez reszty. Zasłużyła na dobry, długi wypoczynek i nie odczuwała z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytał bez ogródek.

- Na razie o tym nie myślę. Zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza.

- Chcę, żebyś wyjechała - odezwał się wreszcie Ross, a w jego głosie nie było ani trochę sympatii czy życzliwości.

- Wiem, nie jestem ślepa ani głucha.

- Już sobie tu pomieszkałaś, zobaczyłaś, że Vicky ma się dobrze. Możesz wrócić i powiedzieć jej matce, że nie ma powodu się martwić.

- Już to zrobiłam, napisałam do niej.

- I zrezygnowałaś z zamiaru, żeby zabrać Vicky ze sobą do Stanów?

- Nigdy nie miałam takich planów, panie doktorze. - Sana uśmiechnęła się lekko. - I nie rozumiem, kto wam podsunął taką myśl.

- Matka Vicky. To ona napisała, że wysyła cię tutaj, żebyś zabrała ją z powrotem.

No tak, mogła się tego spodziewać. Denise lubiła manipulować ludźmi, choć nie zawsze jej to wychodziło. Tym razem chyba jej kalkulacje były chybione.

- Cóż, na tyle chyba już mnie znasz i wiesz, że niekoniecznie robię to, czego się po mnie oczekuje, a już z pewnością nie lubię, jak się mną manipuluje. - Sasha posłała mu miły uśmiech.

- Więc dlaczego tu jeszcze jesteś?

- Bo tak chcę. Mówiłam ci już, że mi się tu podoba. Czy to takie dziwne? To fascynujące miejsce.

- Nikt nie chce tu mieszkać. - Ross zrobił sceptyczną minę.

- Nikt? A ty? A Jay i Nora? Więc dlaczego ja miałabym od razu wyjechać?

- No, a co miałabyś tu robić? Szwendać się, bezsensownie tracąc czas?

To mu rzeczywiście przeszkadzało, nie rozumiała dlaczego. Do Rossa najwyraźniej nie docierało, że to, co ona robi lub nie robi, to nie jego sprawa.

- Dlaczego tak bardzo chcesz się mnie stąd pozbyć? - zapytała.

- Nie masz tu nic do roboty. - Jego spojrzenie było mroczne i nieprzeniknione.

- Ale czy ja ci zawadzam? Czy moja obecność utrudnia ci pracę? Czy jesteś za mnie w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialny? - Była szczerze rozżalona.

- Nie wiem, w co się bawisz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem - wycedził, po czym odwrócił się i odszedł.

Po tej wymianie zdań Sasha była naprawdę wyczerpana i nawet nie tyle rozgniewana, co głęboko dotknięta. Uświadomiła sobie, jak bardzo zależy jej na tym, żeby Ross dostrzegł w niej kobietę i nie sądził z pozorów. A pozory wskazywały na to, że jest ona pustą trzpiotką, marnującą czas, podczas gdy wszyscy dookoła ciężko pracują.

W rzeczywistości wcale taka nie była; lubiła śmiać się i bawić, ale potrafiła też systematycznie i ciężko pracować.

Teraz poczuła, że może rzeczywiście powinna coś zmienić w swoim obecnym trybie życia, zająć się czymś nowym. Przyszło jej do głowy, że może powinna spakować manatki i pojechać do Kenii na safari, jak to poprzednio planowała.

Nie chciała jednak opuścić Obalabi; życie tutaj było dla niej wyzwaniem. Jakiś tajemniczy głos wewnętrzny zalecał jej jeszcze trochę cierpliwości, czuła, że już niedługo zdarzy się tu coś ważnego. Nie mogła się tego doczekać.

Zwróciła uwagę, że plakaty porozwieszane w klinice dla małych dzieci pozostawiają sporo do życzenia. Mogłyby być weselsze i bardziej kolorowe. Za aprobatą Vicky, postanowiła coś na to poradzić.

Nie chodziło o zmienianie ich treści; Sasha miała jednak zacięcie artystyczne i bez trudu ożywiła plakaty za pomocą kilku barwnych, fantazyjnych akcentów. Tu domalowała czerwonego ptaszka, tam szmaragdowozieloną żabkę o

ludzkiej twarzy, a jeszcze gdzie indziej szafirowe i pomarańczowe rybki wyskakujące ze strumyka.

Nie były to żadne dzieła sztuki, ale w nowym wydaniu plakaty zdecydowanie ożywiły klinikę i wywoływały śmiech i wesołość dzieci i ich matek.

Któregoś dnia zatrzymał się przy nich także Ross. Nawet on nie potrafił ukryć wesołości na widok malowideł Sashy i po raz pierwszy zmuszony był ją pochwalić. A chociaż wypowiedział to szorstko i lakonicznie i zaraz odszedł do swoich zajęć, ona długo jeszcze czuła ciepło w sercu i miała wrażenie, jakby stał się cud.

Kilka dni później przebudziła się w środku nocy, czując jakby nagłe olśnienie. Coś się z nią działo, serce jej waliło, musiała się uszczypnąć dla sprawdzenia, czy jednak nie śni. Nie, to była prawda; potrzebowała teraz pióra i papieru, masy papieru i kawy, żeby zupełnie otrząsnąć się ze snu.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest trzecia w nocy; to było jakieś szaleństwo.

A zresztą, co za różnica. Wstała z łóżka i po cichutku, nie budząc Vicky, poszła do kuchni zrobić sobie kawę. Czekaając, aż woda się zagotuje, zjadła banana i przygotowała sobie ołówek, papier i kalkulator.

Zaopatrzona we wszystko, co potrzeba, zasiadła przy stole w jadalni i zabrała się do pracy. Szkicowała i robiła obliczenia. Pracowała z taką pasją, że już wkrótce stół zaścierały stosy kartek z projektami sukienek, spódnic, szortów i bluzek z jakimiś dolarowymi wyliczeniami.

Nie, to przecież niemożliwe, pomyślała w pewnej chwili, z pewnością nic z tego nie wyjdzie. Jej plan jest chyba zbyt ambitny, nie zna realiów tego kraju, jest tu przecież dopiero od niedawna, przyjechała tylko na wakacje.

A jednak, kiedy się naprawdę czegoś chce, zawsze znajdzie się sposób, żeby to osiągnąć, o tym już Sasha wiedziała. Poza tym mogła poprosić o radę Joe'go Dorangę.

Problemem była odpowiednia liczba maszyn do szycia, ale gdyby było trzeba, mogła przecież je kupić i założyć własną pracownię krawiecką.

Doszła do wniosku, że najpierw trzeba zrobić tylko krótką serię, na próbę. Ubrania uszyte z wzorzystych afrykańskich materiałów według jej projektów chciała wysłać do Caroline i przekonać się, jak się będą sprzedawać w Nowym Jorku, w La Tres Chic Boutique Antique.

Zgarnęła projekty na kupkę, poszła po następną filiżankę kawy, wróciła na kanapę i podciągnawszy kolana pod brodę, zaczęła zastanawiać się nad swym przedsięwzięciem. To mogła być duża sprawa i nie należało działać pochopnie.

Z zamyślenia wyrwało ją stukanie do drzwi, co o tej porze było dość zdumiewające. Było wpół do piątej rano.

Podeszła do drzwi i zapytała:

- Kto tam?

- Ross - odpowiedział głos zza drzwi.

Serce zabiło jej gwałtownie. Otworzyła i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że jest tylko w cienkiej, białej koszuli nocnej i na bosaka. No cóż, dla Rossa widok ludzi w koszulach czy piżamach nie był na pewno niczym nowym. Wszedł do środka i rozejrzał się.

- Gdzie jest Vicky? Wszystko w porządku?

- Śpi u siebie w pokoju. Dlaczego coś miałoby być nie w porządku?

Ross nie odpowiedział, przetarł twarz dłonią; wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Dlaczego nie śpisz o tej porze? - zapytał.

- Nie mogłam spać. A ty? Co tu robisz o wpół do piątej rano?

- Byłem w szpitalu, mieliśmy nagły przypadek.

Sasha mogła się nie martwić swoim wyglądem, bo patrzył na nią zupełnie nie widzącym wzrokiem; poznała po jego oczach, że jest zmartwiony i mocno przygnębiony.

- Masz ochotę na kawę albo na drinka? - zaproponowała, czując przyływ współczucia. Ross pracował przez całą noc i najwyraźniej było to coś poważnego.

- Poproszę o kawę - odpowiedział, spojrzawszy na zegarek. - Już nie warto kłaść się do łóżka.

Szybko zagotowała wodę, nalała dwa kubki kawy rozpuszczalnej i zaniosiła je do pokoju.

- Co to za nagły przypadek? - zapytała.

- Młoda kobieta umiera, a ja nie mam pojęcia, dlaczego - odpowiedział głucho.

- Umiera? Tak po prostu? - nie mogła zrozumieć Sasha.

- No, nie ot, tak sobie; tylko że ja nie znam przyczyny. Badania nic nie wykazują, wszystkie testy są w normie. Do diabła! To już trzeci taki przypadek w ciągu ostatnich kilku miesięcy. - Był tym naprawdę przybity.

- Trzeci przypadek? O co chodzi?

- To juju. Tak twierdzą krewni, ale my nie potrafimy jeszcze walczyć z czarami.

Sasha poczuła, że przechodzi ją dreszcz.

- Jak myślisz, co się stało? - zapytała.

- Są dwie możliwości - odpowiedział, łyknąwszy kawy.

- Być może jest to przypadek samospełniającej się przepowiedni. Pacjent wierzy, że ktoś rzucił na niego czar, a ta wiara jest tak mocna, że gotów jest umrzeć. I umiera. W tym wypadku jest to nie pacjent, lecz pacjentka.

- Jak to możliwe?

- Przewaga ducha nad materią; autosugestia. My nie zdajemy sobie sprawy, jaka to może być wielka siła. Druga możliwość to otrucie. Podejrzewam, że tubylcy potrafią

sporządzać trucizny, o jakich nie śniło się współczesnej nauce. Nie potrafimy ich wykryć, nasze testy laboratoryjne ich nie wykazują, więc jedyne, co możemy stwierdzić, to śmierć z niewiadomych przyczyn. I w ten sposób juju triumfuje nad medycyną.

Nie było to coś, z czym Ross potrafiłby się łatwo pogodzić. On nie mógł znieść poczucia bezradności.

- Może jeszcze kawy? - zaproponowała Sasha pocieszająco.

- Okropne świństwo. - Spojrzał na kubek z obrzydzeniem.
- Nie rozumiem, dlaczego Vicky to kupuje.

Nie było tu, co prawda, dużego wyboru, w Obalabi sprzedawali tylko kawę rozpuszczalną i to tylko jeden gatunek. Lepszą można było kupić dopiero w Ouagadougou. Ross jednak najwyraźniej lubił dobrą kawę.

- Jakie jest twoje ulubione danie? - zapytała Sasha pod wpływem impulsu.

- Dobry, soczysty stek - odpowiedział natychmiast bez wahania. - Z pieczonymi kartoflami i zieloną sałatą, a do tego chleb czosnkowy grubo posmarowany masłem.

- A masz jakiś ulubiony deser?

- No jasne, sernik, oczywiście. - Ross uśmiechnął się.

- Ty łakomczuchu! - Sasha roześmiała się także, uznała jednak, że dalsze rozmowy o jedzeniu są ryzykowne, poczuła bowiem, że pod ich wpływem robi się głodna.

- Może po prostu czas na śniadanie? Co byś powiedziała na jajka na bekonie i smażone kielbaski? - zapytał Ross.

Skończyło się jednak na bananach, które popili piwem. Rozmawiali swobodnie, jak nigdy dotąd, i Sasha poczuła, że dzieje się coś niezwykłego: Ross opowiadał jej o sobie. Dowiedziała się, że wcześniej stracił rodziców, po czym wraz z bratem Jakiem wychowywany był przez dziadków ze strony

matki, wspaniałych ludzi i zapalonych żeglarzy, którzy kochali życie i potrafili z niego korzystać.

Podczas tej rozmowy po raz pierwszy znikła bariera chłodu i nieufności, która ich dzieliła, a Ross stał się bardziej przystępny. Sasha uznała, że może skorzystać ze sposobności i zadać mu parę pytań.

- Czego ci najbardziej brak tu, w Obalabi? - zaczęła. Odpowiedź była lakoniczna:

- Wody.

Niewiele jej to powiedziało.

- Jakiej wody? Takiej do picia czy tej, co pada z nieba? A może w rzekach i strumieniach? - Żadnej takiej wody nie było w Obalabi w nadmiarze.

- Takiej, jak w jeziorach, morzach i oceanach - wyjaśnił Ross, po czym dodał: - Jestem żeglarzem i bardzo lubię pływać. To uzdrawiające.

Sasha nie mogła się z nim nie zgodzić.

Rozmawiając tak jeszcze przez godzinę i popijając piwo, odkryli, że prócz tego łączy ich jeszcze wiele innych wspólnych upodobań. Okazało się, że oboje lubią hiszpańską gitarę klasyczną, dojrzałe sery i saunę. Niestety, żadna z tych rzeczy nie była dostępna w Obalabi. Także antypatie mieli podobne.

Nagle zapanowała między nimi jakaś bliskość, znikła natomiast dotychczasowa wrogość. Sasha cieszyła się, widząc, jak Ross się uśmiecha. Był teraz zupełnie innym człowiekiem lub może po prostu odsłonił przed nią tę stronę swej osobowości, którą dotąd skrywał. Potrafił być wesoły, rozluźniony, przystępny. Z kimś takim Sasha potrafiła łatwo nawiązać kontakt, chociaż jednocześnie wzbudzał w niej uczucia i reakcje, których się trochę bała. Coś wibrowało pomiędzy nimi w sposób wysoce niepokojący.

- Lubię coś jeszcze - rzekł Ross. - Rude włosy. -
Wyciągnął dłoń i zanurzył palce w jej gęstych lokach.

Saszę ogarnął płomień.

- Ja też - powiedziała cicho. Rzeczywiście, od dzieciństwa lubiła swoje włosy i była z nich dumna. Ludzie prawili jej komplementy, odróżniała się od swoich koleżanek.

I oto teraz, gdzieś w Afryce, siedziała na kanapie z mężczyzną, który powoli, czule pieścił jej włosy, a ona drżała pod wpływem jego dotyku, bała się na niego spojrzeć i nie mogła złapać tchu.

Ross drugą dłonią ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. Wstrząsnęło nią, gdy zobaczyła, ile jest w nich namiętności. Spojrzenie jego głębokich, ciemnych oczu paliło ją do głębi.

Patrzyli na siebie w napięciu, a chwila ta rozciągała się w nieskończoność, aż wreszcie, zupełnie naturalnie, Sasha przysunęła się do niego, on zaś otoczył ją ramionami. Chłoneła ciepło jego ciała, pragnęła go od tak dawna. Jej umysł nie chciał przyznać się do tego, serce jednak wiedziało.

Pocałunek Rossa był jak eksplozja. Pokój wokół niej zawirował i ogarnęła ją fala gorąca.

- Sasho - wyszeptał po chwili. - To szaleństwo.

Tak, to było szaleństwo, ale ona o to nie dbała; chciała, żeby to trwało w nieskończoność. Było to coś, na co czekała, czego pragnęła, czego spragnione było jej serce.

Jego głodne dłonie przesuwwały się po jej ciele, wdarły się pod nocną koszulę, pieściły piersi, napełniając ją rozkoszą nie do wypowiedzenia. Znikły jakiegokolwiek myśli, pozostały tylko uczucia i czysta przyjemność.

Nagle puścił ją, a Sasha wydała jęk protestu. Oddychała z trudem, chciała, aby to trwało nadal.

Ross tymczasem siedział obok niej, z przymkniętymi oczami i wyrazem cierpienia na twarzy.

- Przepraszam - powiedział wreszcie cichym głosem. - Nie powinienem był do tego dopuścić.

Patrzyła na niego, a jej serce wciąż biło jak szalone.

- Nie ma za co przepraszać - powiedziała lekko. - Ja się nie gniewam.

Nie odpowiedział, lecz jego twarz była jak pozbawiona wyrazu maska.

Przeszedł ją lodowaty dreszcz.

- O co chodzi, Ross? - zapytała.

- O nic. Naprawdę o nic. - Potrząsnął głową, podniósł się i podszedł do drzwi.

Sasha siedziała jak sparaliżowana. Na ustach wciąż czuła jego gorący pocałunek, lecz jednocześnie obudził się w niej gniew pomieszany z rozpaczą. Co było złego w tym, że ją pocałował? Chciała go zapytać, lecz duma jej na to nie pozwoliła. Twarz Rossa była nieprzenikniona jak twarz posagu.

Wyszedł bez słowa.

Następne kilka dni dowiodło, że to, co wydarzyło się tamtej nocy, nie miało nic wspólnego z normalnym życiem. Należało do jakiejś innej sfery doznań i świadomości. Ross starał się unikać Sashy, a kiedy nie miał innego wyjścia i zmuszony był spędzić jakiś czas w jej obecności, zachowywał pełną dystansu uprzejmość.

Co do Sashy, to kipiały w niej pomieszane uczucia: gniew, ból i upokorzenie; dominował w niej jednak gniew, który ją zatruwał i psuł jej nastrój nawet wtedy, gdy pracowała nad swoimi projektami.

Dlaczego Ross ją odrzucał? Co go tak przeraziło w tym pocałunku? Dlaczego zachowywał się, jakby nie chciał mieć już z nią nic wspólnego?

Do diabła z tym wszystkim! Co ją to obchodziło? Przecież wcale go nie chciała; musiała jeszcze tylko sama siebie o tym przekonać, chodziło o jej dumę.

Nie bardzo wiedząc, jak udało jej się tego dokonać, po dwóch tygodniach miała już niewielką próbną kolekcję sukienek, bluzek oraz spódnic uszytych z wzorzystych afrykańskich materiałów według własnych pomysłów.

Vicky była nimi zachwycona, Christine i Nora również. Wyglądało na to, że przesłanie ich do Stanów nie będzie stanowiło problemu. Jay i Nora wybierali się za trzy dni na urlop do domu i mieli wziąć jej kolekcję ze sobą i dopilnować, żeby wszystko w dobrym stanie dotarło do La Tres Chic Boutique Antique. Sasha zdołała porozmawiać już o tym telefonicznie z Caroline, która wykazywała zainteresowanie pomysłem. Gdyby jej afrykańskie stroje okazały się strzałem w dziesiątkę, Sasha miała już wizję nowego sklepu - La Tres Chic Boutique Exotique. Cieszyły ją takie marzenia i myśl o tym, że jedno zrealizowane marzenie rodzi drugie, dodawała jej skrzydeł.

- To może nie być takie łatwe - studziła jej zapał Vicky. - W rzeczywistości wszystko wygląda inaczej, zabiera dużo czasu, pojawiają się trudności.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

- Chcę cię o coś zapytać - powiedziała wreszcie Sasha. - I oczekuję szczerzej odpowiedzi.

- Wiem, o co chcesz zapytać - odparła Vicky. - Oczywiście, że tak, możesz tu zostać, jak długo będziesz chciała.

- Jesteś pewna?

Vicky kiwnęła głową.

- Przecież wiesz, że cieszę się, że tu jesteś, a poza tym uważam, że ważna jest praca, którą rozpoczęłaś. Gdyby to się

powiodło, miałybyś zatrudnienie dla wielu tutejszych kobiet; to naprawdę potrzebne.

Brzmiało to zachęcająco, lecz Sasha nie chciała zbyt wcześnie wzbudzać nadziei.

- Nic nie mogę obiecywać - powiedziała ostrożnie. - To dopiero pomysł, który może się nie sprawdzić. Chciałabym jednak spróbować.

- No to spróbuj. I zostań.

Trzy tygodnie później Sasha otrzymała telegram od Caroline: PRZYŚLIJ CO TYLKO MOŻESZ NAJSZYBCIEJ JAK SIĘ DA!

Zacząła krążyć po piaszczystych uliczkach Obalabi, odwiedzając wszystkie tutejsze pracownie krawieckie i zamawiając kolejne stroje z miejscowych tkanin. Nie przestawała przy tym intensywnie myśleć. W okolicach Obalabi panowała bieda, rolnictwo było słabo rozwinięte i trudno było tu znaleźć jakąś pracę. Praca chałupnicza dla wielu rodzin mogłaby stanowić pewne rozwiązanie. Ta myśl dała Sashy miłe poczucie satysfakcji. Tutejsi ludzie potrzebowali pracy i pieniędzy, natomiast klienci La Tres Chic Boutique Antique mieli ich tyle, że już sami nie wiedzieli, co z nimi robić. Sasha uznała, że pomoże im je wydać w sposób pożyteczny.

To był świetny pomysł - ona, Sasha LeClerc miała udział w sprawiedliwszym podziale dóbr tego świata. To nic, że na drobną skalę. Był to problem dyskutowany przez polityków i ekonomistów, ona zaś miała zrobić coś konkretnego.

A jednocześnie śmiałość tego projektu przerażała ją; budziła się w nocy zrana potem, w obawie, że nie podoła. Wzięła się jednak w garść, była przecież osobą konkretną i praktyczną. Wiedziała, co robi, i postanowiła nie martwić się na zapas. Już raz udało jej się rozkręcić interes, zaczynając od zera, mogła więc dokonać tego jeszcze raz.

„Pojedziesz w daleką podróż i poznasz tam swe przeznaczenie” - powiedziała jej kiedyś Cyganka. Cóż, może to właśnie było jej przeznaczenie. Kto wie?

Wkrótce miała się przekonać, czy jej plan się powiedzie.

Był wtorek rano, obudziła się wcześniej, tuż po szóstej. Teraz zawsze budziła się o świcie i leżała jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w odgłosy ptaków dochodzące przez okno.

Ranek był ożywczy i chłodny, lecz niebawem pokonać go miało bezlitosne, wszechobecne słońce.

Z sąsiedniego pokoju słychać było, jak Vicky szykuje się do pracy, w kuchni Saamo zaczęła przygotowywać śniadanie. Sasha wyskoczyła z łóżka i poszła wziąć prysznic.

Kiedy po chwili wychodziła z łazienki, zrobił się przeciąg i nagły powiew otworzył na oścież drzwi pokoju Vicky. Dziewczyna stała w samej bieliźnie i, zdumiona, odwróciła się, słysząc hałas.

- Dzień dobry - powitała ją Sasha i w tym momencie głos uwiązał jej w gardle.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Stała jak sparaliżowana, wpatrując się w siostrzenicę, która także nie odrywała od niej spojrzenia swych wielkich szarych oczu. Milczały, lecz napięcie aż wibrowało w powietrzu.

Vicky stała prosto, trzymając w dłoni igłę do zastrzyków podskórnych, którą dopiero co wyjęła sobie z przedramienia.

Sasha odetchnęła głęboko, nie mogła pozbierać myśli; tłukły jej się po głowie jak oszalałe. Czy Vicky była narkomanką? Czy dlatego tak dziwnie się czasami zachowywała? Czy to z tego powodu tak schudła?

- Vicky? - szepnęła. - Co ty robisz?

- Widziałas, co robię - powiedziała sucho, odkładając igłę do pojemnika. - To nie twój interes.

- Vicky! - Sasha złapała siostrzenicę za rękę. - Nic mnie nie obchodzi, czy to mój interes, czy nie! Powiedz mi natychmiast, co sobie wstrzyknęłaś!

Vicky uwolniła się od niej i usiadła na łóżku.

- Właściwie dlaczego miałabym ci nie powiedzieć - odezwała się beznamietnie. - I tak prędzej czy później się dowiesz. To była insulina.

- Insulina? - Sasha była zaskoczona, lecz poczuła takie ulgę.

- Mam cukrzycę - powiedziała Vicky.

Sasha poczuła, że serce jej się ścisnęło.

- Vicky, tak mi przykro - szepnęła.

- Na litość boską, przecież to nie jest śmiertelna choroba!

- Dziewczyna zerwała się na równe nogi. - Nie rób takiej grobowej miny!

- Vicky, cukrzyca jest poważną chorobą! Dziewczyna narzuciła szlafrok i wzięła się pod boki.

- Jestem pielęgniarzką o solidnym przygotowaniu zawodowym i mam swój rozum. Przestań mnie pouczać i

zostaw mnie teraz w spokoju, bo muszę się ubrać do pracy - oświadczyła.

- Musimy o tym porozmawiać, Vicky.

- Nie, nie musimy. - Odwróciła się tyłem, kończąc rozmowę.

Sasha wyszła z pokoju, cicho zamykając drzwi, wciąż oszołomiona niespodziewanym odkryciem.

Przy śniadaniu rozmawiały o jakichś głupstwach; Vicky najwyraźniej nie chciała już wracać do tej sprawy, atmosfera jednak była napięta i Sasha była zadowolona, kiedy Vicky wyszła w końcu do szpitala.

Wszystko układało się teraz w logiczną całość: chudość Vicky i obawa w jej oczach, że wszystko się wyda; i te cholerne figowe ciasteczka. Ross zjadł wtedy prawie całą paczkę, bo chciał oszczędzić Vicky tej pokusy. Nie wiedział, że jest jeszcze cała puszka ciastek od Denise. To dlatego Vicky obczęstowała potem tymi ciastkami wszystkich sąsiadów.

Przypomniało jej się też coś z niedalekiej przeszłości; jak Ross zapukał do nich nad ranem, niespokojny o Vicky.

Wszyscy tutaj niepokoiли się o nią, lecz również jej tu potrzebowali. To dlatego tak się obawiali, że Sasha wszystkiego się dowie i przekona ją, by wracała do Stanów. Im jednak strasznie zależało, żeby ją tu zatrzymać. Gdzie znaleźliby drugą instruktorkę, która zgodziłaby się pracować w Obalabi? Vicky nie była kapryśna ani wymagająca, nie bała się insektów i niewygody, cieszyły ją tutejsze pionierskie warunki życia. Tak, oni koniecznie chcieli zatrzymać Vicky w Obalabi.

Sasha poczuła, że ogarnia ją wściekłość, oburzenie ją dławilo, zrobiło jej się gorąco. To ten cholerny Ross!

Musiała się z nim zobaczyć i to natychmiast! Wiedziała, że Ross o ósmej zaczyna obchód, postanowiła więc złapać go

wcześniej w szpitalu. Czekala w pokoju lekarzy, nerwowo chodząc tam i z powrotem, podczas gdy jedna z pielęgniarek poszła go poszukać. Nie czekała jednak długo, bo Ross po chwili się pojawił. Miał na sobie zielony fartuch chirurgiczny i wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie; popatrzył na nią pytająco.

- Dzień dobry - powitał ją. - Coś się stało?

- Tak - odpowiedziała lakonicznie.

- Coś złego? - Przyglądał jej się z wyraźnym zainteresowaniem.

- Tak. Wreszcie odkryłam, dlaczego tak się wszyscy obawiacie, że zabiorę Vicky ze sobą z powrotem do Stanów. Nie mogłam pojąć, o co wam chodzi. No, a teraz już wiem!

- Wiesz? - Ross uniósł brwi.

- Ona ma cukrzycę. - Sasha z wielkim wysiłkiem usiłowała zachować spokój.

- Rzeczywiście tak jest. - Zachowywał się tak, jakby go to zupełnie nie ruszało. Zresztą w porównaniu z przeróżnymi chorobami egzotycznymi, z którymi wciąż miał tu do czynienia, może przypadek Vicky nie stanowił dla niego specjalnego problemu.

- Powinieneś był mi o tym powiedzieć! - wybuchnęła.

- Powiedzieć ci? - Ross miał w oczach wyraz rozbawienia. - Jestem jej lekarzem i nie rozmawiam z postronnymi osobami o chorobach moich pacjentów bez ich zgody. To podstawowa zasada etyki lekarskiej. Mówiłem jednak Vicky, że nie jest to sprawa, którą dobrze jest ukrywać; radziłem jej, żeby ci powiedziała, ale ona nie chciała, więc nie mogłem nic robić wbrew jej woli.

- Trzeba jej było poradzić, żeby wracała do domu! Tylko że ty tego nie chcesz! Ze swoich egoistycznych powodów. To wstrętne!

Ross zmienił się na twarzy, teraz już się nie uśmiechał. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, zapanowała ciężka, pełna napięcia cisza.

- Więc chcesz powiedzieć, że postępuję wbrew etyce lekarskiej? Kwestionujesz mój profesjonalizm? - Teraz i on był już zły.

- Tak! - Sasha wymówiła to słowo z pogardą i na chwiejnych nogach odwróciła się i wyszła z pokoju.

Jej wściekłość zaczynała ustępować miejsca uczuciu rozczarowania. Ross nie był wcale tym wspaniałym, pełnym poświęcenia lekarzem, za jakiego uchodził. On po prostu używał Vicky do swoich celów, posługiwał się nią, nie dbając o jej dobro.

Koło południa Vicky wróciła do domu i już od progu widać było, że jest wściekła. Nikt nie musiał jej niczego mówić. Widząc Saszę wychodzącą z pokoju lekarzy, od razu domyśliła się, co zaszło.

- Nie miałas prawa ingerować w moje sprawy! - krzyczała teraz, rozzalona. - Jestem dorosła i to była moja decyzja, żeby tu zostać, nikt mnie do niczego nie zmuszał! Nie miałam żadnego powodu, by wracać.

- Vicky, jak możesz...

- Gdzie byłabym bezpieczniejsza niż tutaj? Jestem pielęgniarką i wiem, jak o siebie dbać. Przez cały dzień jestem w szpitalu, pod opieką dwóch doskonałych lekarzy, którzy praktycznie nie spuszczają ze mnie oka. Myślisz, że Ross albo Jay pozwoliliby mi tu zostać, gdyby stanowiło to dla mnie jakiegokolwiek ryzyko? Jak coś takiego w ogóle mogło ci przyjść do głowy?

Vicky nie czekała nawet na odpowiedź, wybiegła z domu, nie tknąwszy lunchu, wolała pewnie zjeść z pielęgniarkami.

Po jej wyjściu Sasha ochłonęła i stopniowo zaczęła dostrzegać całą sytuację w mniej dramatycznych kolorach;

może była jakaś racja w tym, co mówiła Vicky? Może jej obawy były trochę przesadzone? Nagle poczuła, że się wygłupiła i że poranna scena z Rossem zupełnie nie była potrzebna.

Kłótnię z Vicky udało jej się łatwo zażegnać, przeprosiła ją od razu, kiedy wróciła po pracy do domu. Dziewczyna nie lubiła hodować w sobie uraz.

Gorzej było z Rossem. Sasha uznała jednak, że jako dojrzała, odpowiedzialna i dobrze wychowana osoba winna mu jest przeprosiny, i nie zamierzała się przed tym wykręcać. Należało tylko zrobić to w dobrym stylu i z godnością.

Starannie wybrała garderobę: nałożyła czarne luźne szarawary i jedwabny top w kolorze miodu, przepasała się długim wzorzystym szalem. Uczesała włosy, umalowała usta i wymknęła się z pokoju.

O tej porze Ross powinien być już w domu, po obiedzie.

Zdecydowanym krokiem pomaszerowała do jego drzwi i zapukała.

Ross sam otworzył drzwi. Ubrany był już po domowemu, w płócienne spodnie i kolorową koszulę. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony.

- Czym mogę służyć? - zapytał chłodno.

- Potrzebuję lekarza - odpowiedziała Sasha.

- Jestem już po pracy, zapraszam rano.

- To pilne.

- Rozumiem. Czyli sprawa jest poważna.

- Tak. - Sasha bez mrugnięcia okiem wytrzymała jego wzrok.

- No cóż, w takim razie wejdź. - Gestem zaprosił ją do środka.

Mieszkał podobnie jak Vicky. Na stole w głębi pokoju piętrzyły się stosy dokumentów, pewnie przerwała mu pracę.

- Więc o co chodzi? - zapytał, kiedy usiedli.

Sasha zaczerpnęła głęboko powietrza, zanim odpowiedziała:

- Cierpię na ciężki przypadek wyrzutów sumienia. Ross kiwnął głową, jakby wcale go to nie zdziwiło.

- Rozumiem - rzekł z zastanowieniem i oczekiwał pewnie, że teraz ona zacznie więc się w przeprosinach. Sasha nie zamierzała jednak zachowywać się w sposób uniżony.

- Masz może jakieś lekarstwa, które by na to pomogły? ~ zapytała z pozorną beztrąską. - A może jakąś magiczną miksturę?

- Nie - zbył ją krótko.

- Jesteś lekarzem, powinieneś zapytać, co mi dolega.

- No więc, co ci dolega? - zapytał posłusznie.

- Bóle w klatce piersiowej, ból głowy, ściśnięty żołądek. Poza tym obrzucam sama siebie najgorszymi epitetami.

- Klasyczne objawy. Poczekaj, może coś się na to znajdzie. - Ross znikł na chwilę w kuchni i wrócił, niosąc dwie szklanki.

- To może pomóc, ale tylko doraźnie - rzekł, podając jej drinka.

Sasha pociągnęła łyk szkockiej, znów odetchnęła głęboko i wygłosiła to, z czym tu przyszła - szczerze, prawdziwe przeprosiny.

- Zupełnie niepotrzebnie się wtrąciłam i naprawdę przykro mi, że straciłam panowanie nad sobą - zakończyła.

A więc miała to już z głowy, co za ulga; i nawet udało jej się przebrnąć przez to z godnością, zachowując twarz.

Pociągnęła jeszcze jeden łyk szkockiej i w tym momencie cały image, na którym tak jej zależało, rozprysł się w drobny mak. Zakrztusiła się i parsknęła, oblewając alkoholem swoje piękne, eleganckie spodnie. Tyle pozostało z jej godnej postawy, wstyd jej było spojrzeć na Rossa. Nie musiała jednak podnosić wzroku, żeby wiedzieć, że się śmieje.

- Masz klasę, ciociu - powiedział. - Naprawdę.

- Och, przestań! - wybuchnęła. - I nie mów do mnie „ciociu"! Ja cię przepraszam, a ty potrafisz się tylko śmiać!

- Sasha popatrzyła teraz w jego ciemne, pełne rozbawienia oczy i sama też się roześmiała.

- Przyjmuję przeprosiny. Lepiej ci już?

- Jestem całkowicie wyleczona, zdziałałeś cuda.

- Miło mi, że mogłem się na coś przydać, nawet o tak późnej porze.

- Dzięki za pomoc, doktorze. - Sasha wstała i zamierzała odejść. - Proszę mi przysłać rachunek.

- Pomoc lekarska wkalkulowana jest w kosztą pobytu.

Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy, i Sasha poczuła, że nie jest w stanie ruszyć się z miejsca.

- Pachniesz upajająco - powiedział Ross z lekkim uśmiechem.

- To naprawdę komplement. Wygląda na to, że wiesz, jak sprawić kobiecie przyjemność. - Sasha miała wrażenie, że te słowa wymknęły się jej same, bez udziału jej woli; miała przecież na tyle rozsądku, żeby go nie prowokować.

Przez chwilę trwało milczenie, w oczach Rossa widać było krótkie zmaganie, po czym objął ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać, i zaczął całować tak zachłannie i namiętnie, jakby niczego innego od dawna nie pragnął. Sasha jęknęła cicho i odwzajemniła pocałunek.

Cały jej dystans i poczucie niezależności przysły; tuliła się teraz do tego mężczyzny i czuła, jak wzbiera w niej pożądanie. W tej chwili nic już się nie liczyło, płonęli oboje.

Był mistrzem, nie miała co do tego wątpliwości. W jego pocałunkach i pieszczotach nie było jednak nic wystudiowanego ani mechanicznego, tylko jakaś pierwotna, najgłębsza zmysłowa przyjemność.

Nagle rozluźnił uścisk, pozwalając jej wrócić do rzeczywistości.

- Jak się teraz czujesz? - zapytał, przyglądając jej się spod oka.

Sasha z trudem dochodziła do siebie, nogi jej drżały; uśmiechnęła się jednak z pozornym spokojem, skrzyżowała ręce na piersiach i rzekła:

- Muszę przyznać, że jesteś świetny, naprawdę świetny.

- Dziękuję. - Ross skłonił jej się z wdziękiem.

- No, teraz już naprawdę pójdę. Dobranoc.

- Dobranoc.

Wracając do domu, oddychała głęboko, zastanawiając się jednocześnie, jak to się stało, że zdołała stamtąd wyjść. Prawdę mówiąc, pragnęła teraz czegoś wręcz przeciwnego niż powrotu do domu, do swojego pokoju i swojego łóżka.

Na jej widok Vicky podniosła głowę znad książki.

- Gdzie byłaś? Znikłaś tak bez słowa - odezwała się z lekkim wyrzutem.

- Ja... hm... poszłam przeprosić Rossa.

- Trochę to trwało.

- Poczęstował mnie drinkiem.

- Co ty powiesz... - skomentowała Vicky sucho.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- O nic, tylko wy chyba jakoś nie przepadacie za sobą. Czyżby coś się zmieniło?

- Zajmij się lepiej książką - skwitowała to Sasha. Vicky wybuchnęła śmiechem.

Następnego dnia Sasha nie widziała się z Rossem, nie zauważyła też, by przechodził rano pod ich oknem w drodze do szpitala. Może poszedł do pracy wcześniej niż zwykle.

Później, pod jakimś głupim pretekstem, kręciła się koło szpitala, w nadziei że spotka go tam przypadkiem, nic z tego jednak nie wyszło. Wróciła do domu zawiedziona.

Była zakochana, nie miała już co do tego wątpliwości.

Zakochała się w Rossie, w jego oczach i ustach, w jego czułych i delikatnych rękach, w opadających na czoło włosach, a przede wszystkim w zmysłowych pocałunkach, do których wydawał się stworzony. Zakochała się w lekko kpiącym uśmiechu. Uwielbiała go w białym lekarskim fartuchu i w zielonym fartuchu chirurgicznym, w którym wydawał jej się szczególnie męski. Teraz, kiedy już uświadomiła sobie tę prawdę, bardzo chciała, żeby sytuacja zaczęła się jakoś rozwijać.

Dni jednak mijały, a sprawy wcale nie posuwały się naprzód. Sasha zaczęła popadać w przygnębienie. Zachowanie Rossa zupełnie nie wskazywało, że zdarzyło się między nimi coś szczególnego, chwile dzikiej namiętności, domagającej się jakiejś kontynuacji, a przynajmniej znaku; porozumiewawczego uśmiechu, uściśnięcia ręki, dotknięcia jej włosów. Nic takiego nie było, Ross traktował ją zwyczajnie, jak wszystkich. A przecież wtedy jej pragnął, co do tego nie myliła się na pewno. Wyglądało na to, że on nie chce się angażować.

Sashy trudno było się z tym pogodzić. Uświadomiła sobie, że praktycznie nie doświadczyła dotąd sytuacji tego rodzaju, że mężczyzna, którym jest zainteresowana, sam nie okazuje jej żadnych szczególnych względów. Raniło to jej ego i serce. Nocami leżała w łóżku bezsennie, rozmyślając, co robić. Nie potrafiła go rozgryźć: miał w sobie tyle namiętności, a jednak za wszelką cenę nie chciał jej uzewnętrzniać, wolał kryć się za maską chłodu i obojętności.

Myślała o nim bezustannie nawet wtedy, gdy zajęta była realizacją swojego planu. Dni mijały i nic się nie działo. Ross odnosił się do niej przyjaźnie i uprzejmie, co i tak stanowiło już pewien postęp. Chyba zrezygnował z zamiaru, by się jej pozbyć z Obalabi, i ta myśl stanowiła dla niej pocieszenie.

Postanowiła czekać, co życie przyniesie, zresztą nie miała tu wiele do wyboru.

Jej biznes zaczął się rozwijać. Znalazła jeszcze kilka kobiet, które chciały dla niej szyć i były chętne do nauki. Miała też okazję zobaczyć się z Joem i jego żoną, potrzebowała bowiem ich rady. Mając na uwadze interes swoich bliskich, Joe powitał jej inicjatywę z entuzjazmem i obiecał pomoc. Miał wielu krewnych i rozmaite kontakty. Nie minęły dwa dni, a Sasha nawiązała współpracę z jego ambitną i wykształconą siostrą, ładną młodą kobietą, bardzo zainteresowaną tego rodzaju przedsiębiorczością. Fatima miała pomóc w rozkręceniu interesu, a następnie przejąć go, kiedy Sasha wróci do Stanów. Był to wspaniały plan.

Z formalnego punktu widzenia sprawa nie była taka oczywista, ponieważ Sasha była cudzoziemką, a do prowadzenia działalności gospodarczej potrzebne były rozmaite pozwolenia i koncesje. Tu jednak Joe zaoferował swoją pomoc. Wszelkie potrzebne umowy zostały zawarte, odpowiednie dokumenty podpisane.

Pomoc Joego wcale się na tym nie zakończyła. Jeżeli Sasha zadba o transport uszytych w Obalabi ubrań do jego biura w Akrze, on zobowiązywał się zorganizować dalszy transport do Stanów. Dopilnował też zakupu sześciu maszyn do szycia, które z Akry dostarczył jej do Obalabi.

Maszyny przyjechały ciężarówką któregoś popołudnia, akurat wtedy, gdy Ross wracał ze szpitala do domu.

- Co to jest? - zapytał, widząc kierowcę, który je właśnie wyładowywał.

- Maszyny do szycia - odparła Sasha skwapliwie, uśmiechając się przy tym szeroko.

- Po co?

- Żeby na nich szyć.

- Co ty kombinujesz?

- Założyłam w Obalabi małe przedsiębiorstwo krawieckie szyjące spódnice i sukienki.

- Małe przedsiębiorstwo? Czy ty oszalałaś?

- Nie, o ile wiem, jestem przy zdrowych zmysłach. - Sasha uśmiechnęła się do kierowcy i zapłaciła mu dodatkowo za pomoc przy wyładunku.

Ross chwycił ją za rękę i niemal siłą wciągnął do domu. Potykał się prawie o sterty spódnic, sukienek i bluzek. Stał jak wryty, bo pokój wyglądał jak jakiś magazyn garderoby, a bogactwo kolorów aż biło w oczy.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - zapytał niskim, nie wróżącym nic dobrego głosem.

- Zatrudniłam dwanaście tutejszych kobiet, żeby przez pół roku dla mnie szyły. Odniosłam wrażenie, że jesteś zaniepokojony moim próżniactwem, więc postanowiłam zacząć robić coś pożytecznego.

- I co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi ubraniami?

- Sprzedać je w Stanach.

- Prawdziwa z ciebie kobieta interesu, co?

- Podobno ma się to we krwi.

- To, że dobrze szło ci w Stanach, wcale nie znaczy, że interes tutaj też się uda.

A więc wiedział o La Tres Chic Boutique Antique. No cóż, najwyraźniej zdażył zasięgnąć języka na jej temat.

- Nie przekonam się, jeśli nie spróbuję, prawda?

- Zdajesz sobie sprawę, ile tego rodzaju przedsięwzięć co roku upada? Czy pomyślałaś, co stanie się z tymi kobietami, kiedy wyjedziesz i stracą tę pracę?

- Tak, zastanawiałam się nad tym.

- Co im wtedy powiesz? Zarobiłam już parę dolców, bardzo wam dziękuję i wyjeżdżam? - Ross miał wściekłość w oczach. - Nie rozumiesz, co robisz? Wzbudzasz nadzieje i oczekiwania! One będą liczyły, że to przedsięwzięcie to coś

trwałego! Realizujesz swoje kaprysy i zachcianki kosztem tych kobiet!

Teraz już i Saszę ogarnęła wściekłość.

- Może nie jestem aż taka głupia, żeby tego nie rozumieć - wycedziła. - Może już najwyższy czas, żebyś mnie choć trochę docenił i zauważył, że jednak mam odrobinę rozumu i wyobraźni. Może - ciągnęła jeszcze wolniej, patrząc prosto w jego gniewne oczy - nie zamierzam stąd wyjeżdżać? - Przynajmniej na razie. Rzeczywiście, nie zamierzała wyjechać, dopóki Fatima nie będzie gotowa, by przejąć interes w swoje ręce.

- Och, wyjedziesz, bądź tego pewna. - Ross zaśmiał się nieprzyjemnie i kpiąco. - Teraz może się to wydawać zabawne, ale do czasu, do czasu. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Sasha stała nad stosami kolorowych ubrań, rozzalona i dotknięta. Dlaczego ten człowiek tak jej nie lubił? Poczuli, że kolory rozmazują jej się przed oczami.

Usiadła na sofie i starała się powstrzymać łzy. Dlaczego ostatnio pojawiały się, gdy tylko zaczynała myśleć o Rossie?

Tego wieczora poszła do niego do domu po jakąś powieść do czytania. Był to oczywiście pretekst i nie miała wątpliwości, że Ross tak to zrozumie. Tak naprawdę, chciała odpowiedzi na pytanie, które dręczyło ją już od dawna.

- Skończyłeś już może tę książkę Irvinga? - zapytała od progu.

- Tak. - Ross popatrzył na nią uważnie. - Wejdz, to ją przyniosę.

Stała i czekała, aż przyniesie książkę; czuła się tu intruzem, Ross nie poprosił nawet, żeby usiadła.

Wzięła książkę i zbierała w sobie odwagę, żeby wyartykułować pytanie, z którym tu przyszła. Bała się, że

odpowieź może być zbyt bolesna. No cóż, była dorosła, musiała to jakoś przełknąć.

- Powiedz mi, proszę, dlaczego mnie tak nienawidzisz? - zapytała.

Ross znieruchomiał, zaszokowany. Spotkali się wzrokiem. Sasha miała wrażenie, że widzi w jego twarzy walkę różnych uczuć. Rozpaczy? Lęku?

Może zresztą tylko jej się tak wydawało. W chwilę potem znów był chłodny i opanowany.

- Wcale tak nie jest - odpowiedział.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- W takim razie, co masz przeciwko mnie? Wiesz już, że nie staram się przekonać Vicky, żeby wracała ze mną do Stanów, więc o ci chodzi?

- Ty tutaj nie pasujesz - odpowiedział.

- Jakie masz prawo o tym decydować?

Ross nagle poszarzał na twarzy, jakby był strasznie zmęczony.

- Wypalisz się - rzekł. - Będziesz miała dość Obalabi i Afryki w ogóle. W końcu znienawidzisz tu wszystko i wyjedziesz.

- No to co? Jestem wolnym człowiekiem. - Sasha wzruszyła ramionami.

- Po co samemu narażać się na rozczarowania? Rozwiane złudzenia? Lepiej wyjechać, kiedy wszystko jeszcze jest dobrze, i zachować miłe wspomnienia.

Sasha wysłuchiwała tego w spokoju, po czym z całym przekonaniem oświadczyła:

- Rozczarowania i rozwiane złudzenia są w życiu nieuniknione. Jeśli podejmujemy ryzyko, czy próbujemy czegoś nowego, musimy się z nimi liczyć. Ja zresztą wcale nie chciałabym takiego nudnego, lukrowanego życia; wolę czekoladowe trufle z orzeszkami pekanowymi.

Na twarzy Rossa pojawił się ślad uśmiechu.

- Czekoladowe trufle z orzeszkami pekanowymi? - powtórzył cicho. - Gdzie je tutaj znajdziesz?

- Och, na pewno są i tutaj. - Sasha uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Trzeba tylko dobrze poszukać.

- A kiedy się skończą?

- Nie można do tego dopuścić, trzeba szukać nowych. Na tym cała sztuka polega.

- No, a jeśli znudzą ci się czekoladowe trufle?

- Jeszcze nie spotkałam nikogo, komu by się znudziły. Twarz Rossa była znowu nieprzenikniona jak maska.

- Doskonale wiesz, o czym mówię - ciągnęła Sasha nie zrażona. - Ty też nie jesteś lukrowanym facetem, prowadzącym mdłe, lukrowane życie. To, co robisz, wielokrotnie wymagało podejmowania ryzyka.

- I zapłaciłem za to, wierz mi. - Odwrócił się do niej plecami, jakby uznał, że dość już powiedział. Sasha zastanawiała się, o co mu tak naprawdę chodziło.

- Nie wyjadę - powiedziała cicho. - Jestem gotowa podjąć ryzyko.

Ross gwałtownie odwrócił się znowu w jej stronę.

- Ale ja nie! - wybuchnął. Chwycił ją za ramiona i patrzył jej prosto w twarz, a w jego oczach odmalował się wyraz bezgranicznego cierpienia. Sasha była tym wstrząśnięta.

- Co nie? - wyszeptwała.

- Ja nie chcę już ryzykować!

Nogi się pod nią ugięły, ale nareszcie знаła odpowiedź na swoje pytanie i wszystko stało się dla niej zupełnie jasne.

I w tym momencie Ross zaczął ją całować. Nie był to jednak pocałunek czuły i łagodny, lecz zachłanny i rozpaczliwy. Sasha stała w jego objęciach oszołomiona, bez ruchu.

Przestał ją całować równie nagle, jak zaczął, a ona opadła na najbliższe krzesło zupełnie bez siły.

- Dla ciebie to łatwe, prawda? - zapytał cicho. - Wesolutka, roześmiana, gdziekolwiek pójdiesz, wszyscy cię kochają. A kiedy zabawa cię znudzi, po prostu znikasz. Wystarczy, że przyjdzie pora deszczowa albo zaczną wiać tutejsze wiatry, kiedy wszyscy tu będziemy się dławić piaskiem i kurzem, wtedy frajda się skończy, spakujesz się i wyjedziesz. Znienawidzisz to miejsce, zatęsknisz za przyzwoitym jedzeniem i zakupami u Saksa i Bloomingdale'a,

zanudzisz się na śmierć bez telewizji i nie będziesz mogła zrozumieć, dlaczego się tu zagrzebałem i po co tracę czas. - Zupełnie już nad sobą nie panował, trząsał się z wściekłości.

- Przestań! - Sasha nie mogła już tego znieść. - Przestań, Ross!

Życie jakby z niego wyciekło, twarz miał pozbawioną wyrazu, oczy puste.

- Wyjedź - powiedział beznamiętnie. - Po prostu wyjedź stąd.

Wpatrywała się w niego, czując lęk i wściekłość pomieszane ze współczuciem. To jakiś straszny ból, zzerający go od środka sprawił, że ten silny mężczyzna zupełnie stracił panowanie nad sobą. Czowała, że najlepiej będzie zostawić go teraz samego. Tak też zrobiła.

Nareszcie więc wiedziała. Żona zostawiła go, bo nie mogła znieść życia w Obalabi. Wszystko, co teraz w gniewie wykrzyczał Sashy, to były projekcje tego, co zdarzyło się jego żonie. Po prostu znudziło jej się w Obalabi, spakowała się i wyjechała.

Teraz Ross za wszelką cenę bronił się przed uczuciem do Sashy, w obawie że i ona go zostawi. Dlatego chciał, żeby wyjechała, zanim będzie za późno.

Następnego dnia przy kolacji Sasha usiłowała wyciągnąć Vicky na rozmowę o żonie Rossa, nic jednak z tego nie wyszło; dowiedziała się tylko, że podobno była to osoba, która ciągle się nudziła i wyjechała z Obalabi na długo przed przyjazdem Vicky.

- W niedzielę są urodziny Rossa. - Vicky podała Sashy talerz z ananasem i owocem paw paw, zmieniając temat. - Zorganizujmy przyjęcie, możemy zaprosić wszystkich. Zwykle zajmuje się tym Nora, ale powiedziałam jej, że chciałabym pomóc. - Nora i Jay dopiero wrócili z urlopu w Stanach.

- Przyjęcie zrobimy u nich - ciągnęła Vicky, przejęta pomysłem. - Tam jest więcej miejsca, można będzie tańczyć. Zdaje się, że przyjadą też Danielle i Mark.

Urodziny Rossa, przyjęcie, tańce... Sasha poczuła, że nadarza się dla niej okazja do działania. Przecież nie mogła pozwolić, aby sprawy między nią a Rossem pozostały w takim stanie. Musiała mu udowodnić, że nie postąpi tak jak jego żona i że nie jest lalą, która nie może żyć bez telewizji i zakupów u Bloomingdale'a.

Musiała mu pokazać, że jej uczucia są głębokie i autentyczne, to jednak wymagało sytuacji, kiedy Ross znów odważy się zdjąć tę maskę chłodnej obojętności, którą prezentował jej na co dzień. Trzy razy ją pocałował, trzy razy Sasha widziała go bez maski. Dzięki temu wiedziała, że jej pragnie, a ona pragnęła jego.

Myśl o przyjęciu urodzinowym i o tańcach wyzwoliła w niej falę wyobrażeń: czuła już prawie, jak Ross ją całuje, jak kocha się z nią namiętnie i czule. Tak bardzo tego chciała...

- Planujmy więc - zwróciła się do Vicky.

Jak zaplanowały, tak zrobiły. Specjalnie odbyły podróż do Ouagadougou, żeby poczynić odpowiednie zakupy. Można tam było dostać rozmaite smakołyki prosto z Francji. Przenocowały w hotelu, popływały w basenie, zjadły znakomity francuski obiad i upajały się krótkimi chwilami luksusu.

- To takie miniwakacje - oświadczyła Vicky - konieczne tutaj dla zachowania równowagi.

Następnego dnia, kiedy Vicky była w szpitalu, Sasha przy pomocy Saamo piekła i gotowała różne wyszukane potrawy na zbliżające się przyjęcie.

Danielle i Mark Penbrooke przyjechali w niedzielę rankiem i zatrzymali się u Branscomów, których dom zdobiły już girlandy i balony. Wstąpili tu po drodze do Timbaktu,

gdzie człowiek zdołał zagospodarować pustynię, a przynajmniej pewną jej część. Mark opowiadał im o systemie nawadniania, który tam powstał i dawał znakomite efekty. Sasha była tym zafascynowana i zazdrościła im wyprawy.

- Opowiecie mi potem, jak było - poprosiła. - Może kiedyś i ja się tam wybiorę.

Danielle roześmiała się.

- Zdumiewające, że jeszcze tu jesteś; nie przypuszczałam, że tak długo wytrzymasz.

- Podoba mi się tu. Vicky zgodziła się, żebym u niej dłużej pobyła. Założyłam tu małe przedsiębiorstwo i chcę zobaczyć, czy coś z tego wyjdzie.

Po lunchu pokazała Danielle niektóre ubrania, przygotowane do wysłania do Akry. Danielle była zachwycona, a w pewnym momencie znów wybuchnęła śmiechem, jakby coś jej się przypomniało.

- To nie do wiary - powiedziała - jak bardzo różnisz się od osoby, która według opisów Rossa miała tu przyjechać: miała to być jakaś stara niezameżna ciotka, zajmująca się handlem używaną odzieżą. Tymczasem pojawiłaś się ty, śliczna, elegancka i tryskająca energią. Chyba mocno go to zaskoczyło.

- On mnie tu nie chce - odpowiedziała Sasha, zanim zdążyła pomyśleć. - Nie może się doczekać, kiedy wyjadę.

Danielle szeroko otworzyła oczy ze zdumienia i zapytała:

- Dlaczego tak myślisz? Okazał ci to w jakiś sposób?

- On nie chce się angażować - wydusiła Sasha z trudem.

- Boi się, żeby nie powtórzyła się historia jego żony. - Danielle pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Przecież ja nie jestem jego żoną; nawet jej nie znam! Do diabła! Nie mogę znieść, kiedy on traktuje mnie tak, jakbym była tamtą kobietą. Jestem sobą. - Sasha była głęboko rozgoryczona.

- Kochasz go, prawda?
- Co mogę poradzić, że jestem taka głupia - westchnęła.
- To nie ma nic wspólnego z głupotą. A jeśli idzie o ścisłość, jesteś o niebo silniejszą osobowością niż Angela, jesteś co najmniej równie piękna, równie elegancka i...

- I co?

Danielle uśmiechnęła się i wzięła w dłoń jej rękę.

- I paznokcie masz co najmniej równie piękne, jak ona.

- No, miło to usłyszeć. - Sasha odetchnęła z ulgą.

- Wiesz, nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak kpiny - Danielle przybrała poważny ton - ale Angela naprawdę miała fioła na punkcie paznokci. Wszystkich nas doprowadzało to do szału.

- No cóż, ja nie mam takiego fioła. Jeśli to akurat mu przeszkadza, to mogę obciąć je krótko i wcale nie lakierować.

- Nie o to chodzi. - Pokiwała głową Danielle. - Problem tkwi w nim. Bądź cierpliwa, to inteligentny człowiek, może zrozumie, jak absurdalne jest takie zachowanie, i coś się zmieni.

- Ty dobrze znałaś jego żonę? Danielle pokręciła głową przecząco.

- Nie, znałyśmy się bardzo krótko. Angela wyjechała niedługo po naszym przyjeździe, zdecydowanie nie mogła już znieść tak prymitywnych warunków życia. Oni przedtem spędzili kilka lat na Nowej Gwinei, miała tego dość. Któregoś dnia po prostu spakowała się, wyjechała i już nigdy tu nie wróciła.

- On na pewno ciężko to przeżył.

- No, jeszcze jak!

Kiedy wieczorem przyszedł Ross, nie krył zdumienia na widok dekoracji i przygotowań, które poczyniono na jego cześć. Wszyscy odśpiewali „Happy Birthday”, po czym zasiedli do uroczystej kolacji, składającej się z kilku zakąsek,

steków z różną z pieczonymi kartoflami i zieloną sałatą oraz znakomitego sernika na deser.

- Sasha to przygotowała - powiedziała Vicky. Ross ze zdziwienia uniósł brwi.

- Czyżbym się przesłyszał, kiedy mówiłaś, że nie umiesz gotować?

- Nabrałam cię. - Sasha uśmiechnęła się przewrotnie. Przy kawie Ross rozpakował prezenty. Były tam książki, butelka whisky, świeże owoce, T-shirt. Sashy udało się znaleźć prezent, jakiego dla niego szukała - pudełko czekoladowych truflí z orzechami - i teraz z bijącym sercem patrzyła, jak go rozpakowywał i czytał dołączoną do niego karteczkę:

Jeśli naprawdę chcesz czekoladowych truflí z orzeszkami pekanowymi, to znajdziesz je nawet tutaj.

Ross podniósł głowę, napotkał jej wzrok i uśmiechnął się.

- Dziękuję - rzekł. Oboje rozumieli wymowę tego prezentu.

Vicky przygotowała na ten wieczór różnorodny zestaw nagrań do tańca - piosenki country, przeboje z lat sześćdziesiątych, nawet reggae. Nastawiła właśnie reggae i zaczęła tańczyć z Jochenem, a reszta towarzystwa podzieliła się na pary, idąc w ich ślady. Ross też wstał z miejsca, rozejrzał się i podszedł do Sashy.

- Masz ochotę zatańczyć? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała.

- Dziękuję za wspaniałe przyjęcie - powiedział w tańcu. - Na pewno nie było łatwo dostać tutaj to wszystko.

- Urodziny ma się tylko raz w roku - odpowiedziała lekko. - A ponieważ tak się złożyło, że wiedziałam, co najbardziej lubisz, więc jak mogłam oprzeć się pokusie?

- I te czekoladki, to naprawdę znalezisko - Ross uśmiechnął się.

- Jeśli naprawdę nam na czymś zależy, to zrobimy wszystko, żeby to dostać - odpowiedziała Sasha, siląc się na beztronski ton. I ona, i on wiedzieli jednak, że nie jest to tylko zdawkowa uwaga.

Podobnie jak inni, tańczyli, nawet się nie dotykając.

- Kiedy ostatnio tańczyłeś? - zapytała Sasha, kołysząc się w rytm muzyki.

- Już nie pamiętam. - Wzruszył ramionami. - Nie, nie, wiem. To było w zeszłym roku, na St. Barlow, takiej wysepce na Morzu Karaibskim.

- Co robiłeś na Karaibach?

- Byłem na urlopie, z wizytą u Penbrooke'ów. Oni co roku jeżdżą tam na miesiąc; ojciec Marka ma tam dom. a GHO zbudowała szpital, który też chciałem zobaczyć. Mniejsza o to, w każdym razie było przyjęcie i tańce.

- Czy ojciec Marka ma coś wspólnego z GHO?

- Tak, to bogaty biznesmen, który jest dobrym kumplem Bucksa.

- Kto to jest Bucks?

- Ten stary, który założył GHO.

- Ten dziwak, miliarder i wizjoner, o którym mi opowiadałeś?

- Tak.

- Podobają ci się Karaiby?

- Tak. - Ross kiwnął głową. - Na St. Barlow jest pięknie i klimat jest tam wspaniały. Poza tym świetne warunki do wypoczynku; można opalać się, łowić ryby, pływać, nurkować, żeglować.

Sasha nigdy nie była na Karaibach, więc tym bardziej; słuchała tego z ciekawością. Jej dotychczasowe wojaże obejmowały Meksyk, Kanadę i Europę, miejsca ciekawe, lecz nie tak egzotyczne.

Kolejny taniec był powolny, do jakiejś sentymentalnej niemieckiej piosenki, i Sasha znalazła się w objęciach Rossa, bo tego już nie dało się tańczyć oddzielnie. Zresztą niczego w tej chwili bardziej nie pragnęła. To było naturalne, jak słońce, deszcz i wiatr. Czuła ciepło ciała Rossa, jego dotyk. Pragnęła go każdą komórką swego ciała.

Ross objął ją jeszcze ciaśniej, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Zamknęła oczy i już nie tańczyła, lecz płynęła w powietrzu w takt muzyki.

Pragnęła być z nim sama, chciała go całować, być blisko, opowiadać mu, co czuje. W jakimś bezpiecznym, zacisznym miejscu, gdzie oboje mogli być sobą, bez barier i masek.

Czuła wyraźnie, że Ross też jej pragnie. Jego chłodne opanowanie gdzieś znikło, przywarł do niej całym ciałem, poruszali się razem jak we śnie.

W połowie tańca Ross nagle zatrzymał się, wziął ją za rękę i bez słowa wyprowadził do skrytego w ciemności ogrodu. Noc brzmiała melodią pasikoników, przenikała ją intensywna woń jakichś nocnych kwiatów, na niebie pełno było gwiazd.

Pod baldachimem splątanych gałęzi przyciągnął ją do siebie i całował z całą siłą wyzwolonej znowu namiętności. Sashy zdawało się, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

Nie widziała go, bo księżyc skryty był za chmurami, noc ta jednak kryła w sobie jakieś szaleństwo, pierwotną i pogańską siłę, która oboje ich wzięła w posiadanie.

Ross w pewnej chwili wypuścił ją z objęć, złapał za rękę i pociągnął dalej. Podążała za nim jak w transie. Kiedy doszli do jego domu, pchnął drzwi, wprowadził Saszę do środka i zatrzymał się z nią dopiero w sypialni, gdzie znów przyciągnął ją do siebie. Jego pocałunki były jak ogień, gwałtowne, prawie bolesne. Zaczął zdzierać z niej ubranie i Sasha pomyślała, że zachowuje się jak szaleniec. Kiedy i z siebie zrzucił ubranie i

objął ją znowu, jakoś rozpaczliwie i desperacko, Sasha poczuła, że ogarnia ją strach. W tym, co robił, nie było śladu czułości ani miłości, był jak obłąkany.

- Ross! - zaprotestowała szeptem i starała się wyszarpnąć.
- Ross!

- Przecież właśnie tego chciałaś, prawda? - odpowiedział grubiańsko. - Cały wieczór chciałaś tylko tego!

- Nie! - zaprotestowała i nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, co się dzieje.

- Nie? - Ross zaśmiał się szyderczo.

- Nie! Nie w ten sposób! - Zaczęła drżeć na całym ciele. - Jesteś zły i chcesz wziąć mnie siłą. Na pewno nie o to chodziło. Oszczędź mi tych barbarzyńskich zachowań, nie jesteśmy jaskiniowcami!

Wpatrywał się w nią i stopniowo wyraz wściekłości i dzikiej żądzы zniknął z jego twarzy, jak gdyby opuszczał go jakiś demon. Rzucił się na łóżko i zasłonił twarz dłońmi.

- O mój Boże! - wydusił z męką w głosie.

- Myślałam, że chcesz się ze mną kochać - odezwała się Sasha, a łzy napłynęły jej do oczu. - Dlaczego jesteś taki zły? Co ja takiego zrobiłam?

- Nic nie zrobiłaś. - Ross usiadł. - Do diabła, nie chcę cię pragnąć! - W jego głosie znów zabrzmiał gniew, ale także rozpacz.

Sasha stała przed nim naga, a łzy płynęły jej po twarzy. Co robiła tu z człowiekiem, który tak strasznie nie chciał jej pragnąć?

Tylko że pragnął jej mimo wszystko i to właśnie wzbudzało w nim taką wściekłość. Sasha podniosła ubranie z podłogi. Nie miała zamiaru zostać tu ani chwili dłużej. Ross zerwał się z łóżka.

- Nie płacz, proszę cię, nie płacz. - Wziął ją znowu w objęcia, położył na łóżku i głaskał po włosach. - Przepraszam. O Boże, jakim ja jestem draniem.

- Puść mnie! Puść mnie w tej chwili! - Sasha płakała jeszcze bardziej i starała mu się wyrwać.

- Nie - odpowiedział. - Nie pozwolę, żebyś teraz odeszła.

Leżała w jego ramionach sztywno, czując nienawiść do niego i do siebie za swą słabość. Nie miała już siły z nim walczyć. Był tuż nad nią, opalony, muskularny, męski. Mimo rozżalenia Sasha poczuła, że coś w niej mięknie, rozluźnia się, a ona wbrew sobie całym ciałem garnie się do tego mężczyzny. Ross delikatnie, pieszczotliwie gładził jej włosy i całował mokre od łez oczy. Jego poprzednia dzikość zniknęła i był teraz właśnie taki, jak Sasha to sobie wymarzyła - łagodny, czuły, kochający.

- Przepraszam - szeptał. - Wybacz mi, że byłem takim draniem.

Wszystkie wzajemne pretensje i lęki rozplynęły się w słodczy pocałunków, które Sasha odwzajemniała z całą mocą swojego uczucia. Otoczyła go ramionami i przyciągnęła do siebie, tak bardzo go pragnęła.

- Jesteś taka piękna, ciepła i delikatna - powiedział w pewnej chwili z czułością Ross - i tak mi jest z tobą" cudownie. Chciałbym się z tobą kochać i kochać, i kochać.

- Ja też - odpowiedziała, pieszcząc go.

- To nie jest zbyt romantyczne, ale powinniśmy się jakoś zabezpieczyć - wyszeptał jej do ucha.

Sasha uśmiechnęła się w ciemności.

- Nie martw się, już o tym pomyślałam - odpowiedziała również szeptem. - W klinice są darmowe próbki, wzięłam sobie coś stamtąd dziś rano.

- Dziś rano?

- Tak. - Sasha wtuliła twarz w ciepłe zagłębienie jego szyi. - Myślałam o tym przyjęciu i o nas. Tak strasznie chciałam się z tobą kochać, Ross, i miałam nadzieję... no, w każdym razie nie chciałam zachowywać się głupio. Teraz już wiesz... sama się zdradziłam. - Poczowała, że rumieni się jak nastolatka.

- Przecież to nie jest żadna wielka tajemnica - odezwał się Ross ciepło. - Ja też pragnąłem ciebie już od dawna. Przekonasz się, jak bardzo.

Objął ją mocniej, całował delikatnie, a potem coraz śmieiej; pieścił jej włosy. Leżała w jego uścisku, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko prawda.

A czar tymczasem trwał nadal. Każdy pocałunek i każda pieszczota Rossa wprawiała ją w drżenie, była w jego rękach jak czuły instrument, z którego on potrafił dobyć najpiękniejszą melodię.

- Wiesz przecież, co ze mną zrobiłaś? - zapytał cicho, unosząc głowę, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Nie. - Sasha potrząsnęła głową.

- Opętały mnie twoje rude włosy i zielone oczy. nie mogłem przestać o tobie myśleć, śniłaś mi się w nocy - mówił cicho, niepewnie, jakby wstydził się to wyznać.

Ustami odnalazł jej pierś i przez chwilę bawił się jej sutkiem, muskając go i ssąc, i wywołując w niej taką falę rozkoszy, że nie potrafiła już dłużej biernie leżeć w jego objęciach. Dość długo na to czekała i teraz przyszła wreszcie chwila, kiedy mogła okazać Rossowi całą swą czułość i miłość w ten jedyny, najprawdziwszy, najintymniejszy sposób.

- Tak cudownie się z tobą czuję - wyszeptała. - Pierwszy raz coś takiego przeżywam. - Była to prawda, nigdy dotąd nie zdarzyło jej się doświadczyć tak płomiennego, wszechogarniającego pożądania.

- Tak cię pragnę. - Ross wydał głęboki, zduszony jęk. - O Boże, jak ja cię pragnę. - Jego pieszczoty stały się jeszcze gorętsze.

Te słowa brzmiały w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka.

- Ja też cię pragnę - szepnęła.

Dłoń Rossa wędrowała po jej udzie, dotykała najczulszych miejsc, doprowadzając ją prawie do szaleństwa, sprawiając, że już ani chwili dłużej nie mogła powstrzymać tej fali, która ją chciała zagarnąć.

- Wejź we mnie - szepnęła mu prosto do ucha. - Chcę czuć cię w środku.

I Ross znalazł się nad nią, całował ją mocno i wniknął w nią, jak tego chciała, a okazało się to lepsze i słodsze, niż kiedykolwiek byłaby w stanie sobie wymarzyć.

Leżeli potem w milczeniu, przytuleni. Sasha była zarumieniona i nie mogła złapać tchu, lecz miała tak cudowne poczucie spełnienia i zaspokojenia, że uśmiechała się do siebie, nie mogąc się nadziwić, jak wspaniale do siebie pasują.

Kiedy się obudziła, przez okno wpadało ostre słoneczne światło, a z pobliskiego murzyńskiego osiedla dochodziło gdakanie kur i głos jakiejś kobiety.

Była w łóżku Rossa sama. Leżała przez chwilę, przeżywając od nowa wydarzenia ostatniej nocy, lecz już zaczęło rodzić się w niej nieokreślone przecucie, że coś jest nie w porządku.

Pozbierała z podłogi swe porozrzucone ubrania, szybko wciągnęła je na siebie, przez cały czas czując dziwny lęk. Dom wydawał się cichy i pusty, Rossa znalazła jednak na werandzie, gdzie siedział przy kawie.

- Dzień dobry - powitał ją obojętnie.

Po wspólnej nocy pełnej miłosnych uniesień ten oficjalny ton był dla niej jak lodowaty prysznic. Tak pragnęła, by Ross

znowu wziął ją w ramiona i przytulił z czułością, widziała już jednak, że nic takiego nie nastąpi.

- Ross? - zagadnęła go cicho, prosząco.

- Napijesz się kawy? - zapytał. - Jest świeżo zaparzona.

- Nie, dziękuję. - Słowa z trudem wydobywały jej się z gardła. Nie wiedziała, o czym w tej chwili myśli Ross, lecz jego ton i zachowanie nie zwiastowały nic dobrego i nie mogły być początkiem ich bliskiego związku.

- Co się stało? - zapytała.

- Co się stało? Nic.

- Nie rozumiem cię. - Sasha była bliska płaczu.

- Czego nie rozumiesz?

- Och, przestań się tak zachowywać! Kochaliśmy się ze sobą godzinami, a teraz traktujesz mnie tak, jakbym była kimś obcym.

- Przepraszam - powiedział chłodno, dopijając kawę.

- Za co przepraszasz? - Saszę zaczynała ogarniać wściekłość.

- Za to, że cię ranię. Nie przeczę, że powstały między nami pewne uczucia, nie chciałbym jednak, żebyś spodziewała się czegoś więcej. - Wypowiedział to trzeźwym tonem analityka, jak naukowiec objaśniający przebieg doświadczenia.

- Ach, tak.

- Nie chciałbym, żebyś po tej nocy stworzyła sobie jakieś fałszywe wyobrażenie.

- Jak uprzejmie z twojej strony - odpowiedziała z goryczą, podczas gdy w środku wszystko skręcało się w niej z bólu. - A jakie mianowicie byłoby to wyobrażenie? - Była na granicy łez, miała ochotę go uderzyć.

- Nie chciałbym, żebyś sobie wyobrażała, że ta noc zapoczątkowała jakiś nasz dalszy... bliski związek. Przykro mi cię ranić, ale sądziłem, że lepiej będzie, jeśli ci to powiem.

- Aha, a ja pewnie powinnam ci jeszcze podziękować, że taki jesteś uczciwy. Boże, ale z ciebie świnia, Ross.

Widać było, że to go dotknęło.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - rzekł beznamiętnie. - To chodzi o mnie. To ja wolę... wolę się nie angażować.

- W takim razie jak wytłumaczysz to, co stało się ostatniej nocy? - Sasha zmartwiała.

- Oboje mieliśmy taką potrzebę.

Aha, więc tylko o to w tym wszystkim chodziło. Powinnam wreszcie dorosnąć, pomyślała. Ludzie sypiają ze sobą z różnych przyczyn, wcale nie zawsze z wielkiej miłości.

- A więc chodziło tylko o to - powiedziała zimno. - Oczywiście więcej się to nie powtórzy.

Jak Ross mógł tak łatwo wyprzeć się wszystkiego? Jego twarz była znowu nieprzenikniona jak maska; a przecież kiedy się z nią kochał, czuła wyraźnie, że nie udawał. To był wyraz miłości - nie pieściłby tak pierwszej lepszej kobiety.

- Przykro mi, że tak to odczuwasz - powiedziała z wysiłkiem. Było jej tak rozpaczliwie smutno, że z trudem hamowała łzy. Wyprostowała się i wyszła z domu Rossa.

O dziewiątej pojawiła się w klinice małych dzieci, dzierżąc zwinięte w rulon dwa plakaty na temat właściwego odżywiania; były bardzo kolorowe, dopiero je namalowała.

Zastała tam Vicky i jej pomocnicę. Plakaty wzbudziły ich zachwyty i zaraz zawisły na ścianie.

- Ross był dziś rano w fatalnym humorze - poinformowała ją przy okazji Vicky. - Nie wiesz przypadkiem, co mu się stało? Bo z przyjęcia chyba był zadowolony, prawda?

Sasha z trudem ukryła zdumienie; Vicky najwyraźniej nie zauważyła nawet, że ona nie nocowała dziś w domu. Nie zamierzała jednak wyprowadzać jej z błędu.

- Nie wiem - skłamała, chociaż doskonale wiedziała, co działo się z Rossem. Przeżywał jeszcze zdarzenia tej nocy, może miał wyrzuty sumienia, że tak ją rano potraktował.

Spotkała go przypadkiem, wychodząc z kliniki. Przez półuchylone drzwi gabinetu ujrzała Rossa w białym fartuchu, jak uspokajał małego chłopca, przemawiając do niego w tutejszym języku. Był teraz innym człowiekiem: troskliwym, łagodnym, spokojnym. Dlaczego dla niej był tak bezwzględny? Żal i poczucie krzywdy dławili ją w gardle.

Dni mijały jej w nastroju smutku i przygnębienia. Ross zachowywał wobec niej chłodny dystans. Wiele dałaby za to, by poznać sposób, jak przebić ten twardy pancerz jego obojętności.

„Nie chcę cię pragnąć” - te słowa Rossa wciąż dudniły jej w głowie, powracały jak echo, raniły jak ostre kawałki szkła. Chciałaby się komuś zwierzyć, poradzić, nikogo takiego jednak nie miała. Gdyby była tu księgarnia, poszukałaby poradnika Co robić z mężczyzną, który nie chce cię pragnąć, lecz pragnie, ale i tego nie było.

Przede wszystkim sama postanowiła uczciwie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chce być pożądana przez mężczyznę, który tego nie chce.

Stwierdziła, że tak.

Kolejne pytanie samo się nasuwało: dlaczego on nie chce jej pragnąć? I na to też mogła sama bez trudu odpowiedzieć: nie chciał więcej cierpieć, w razie gdyby powtórzył się scenariusz jego przeżyć małżeńskich.

Uważał zapewne, że Sasha też w końcu wyjedzie i go opuści. Bał się cierpienia i dlatego nie chciał się angażować. Jak miała go przekonać, że z nią będzie inaczej i że nie ma zamiaru go skrzywdzić?

Obsesyjne myślenie na ten temat z pewnością nie wychodziło jej na dobre. Przyszło jej do głowy, że czasami

nieodwzajemniona miłość wpędza ludzi w chorobę. Może w tym coś jest? Gdyby się rozchorowała, trafiłaby w końcu do szpitala, a Ross musiałby ją leczyć. Wszelkie metody okazałyby się nieskuteczne, uleczyłby ją tylko czar jego miłości.

Tego wieczora, kiedy siedziała w swoim pokoju i czytała, dobiegł ją dziwny hałas, jakby warkot jadącej drogą ciężarówki. Zmarszczyła brwi i popatrzyła na zegarek. Była dziesiąta, pora, kiedy miasteczko już spało. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że przed ich domem zatrzymuje się rozklekotany samochód, a z niego wysiada mężczyzna, którego po ciemku trudno jej było rozpoznać. Dopiero kiedy otworzyła drzwi i zapaliła światło przed domem, aż oniemiała ze zdumienia - przed nią bowiem stał nie kto inny, lecz Richard.

- Richard? To ty? - zapytała z niedowierzaniem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sasha nie wierzyła własnym oczom. Wprost nie mieściło jej się w głowie, że ten zakurzony, spocony i rozczochrany osobnik stojący przed nią, to Richard. Richard, którego znała, był przykładem nieskazitelnego yuppie, klasycznym przedstawicielem tego gatunku.

Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

- Richardzie, nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty. - Dopiero mówiąc to, zauważyła, że za nim stał jeszcze jakiś mężczyzna; był stary, prawie łysy, chudy i wyprostowany. Miał na sobie workowate kraciaste szorty, czerwony T-shirt i zakurzone buty Nike' a, które na jego białych, patykowatych nogach przypominały łodzie. W sumie wyglądał groteskowo.

- Przepraszam, nie zauważyłam pana - powiedziała Sasha.

- Nie szkodzi, nie szkodzi. - Mężczyzna zaśmiał się jowialnie, poklepał Richarda po ramieniu i uznawszy, że wszystko jest w porządku, pożegnał się.

- Idę znaleźć łóżko dla moich starych kości - oświadczył i odszedł.

Sasha patrzyła za nim w zdumieniu.

- To jakiś wariat - powiedział Richard. - Mówi, że jest właścicielem szpitala, ale sam chyba uciekł od czubków.

Tymczasem starszy mężczyzna skierował się ku domowi Rossa, zabębnił w drzwi i zawołał:

- Ross! Wpuść mnie!

Sasha uspokoiła się i dopiero teraz zamknęła drzwi. Richard, zupełnie wykończony, rzucił się na sofę i westchnął z ulgą. Zdołał jednak tu dotrzeć i odnaleźć Saszę.

- Jestem w takim stanie, że pewnie nie będziesz chciała mnie pocałować? - zapytał niepewnie.

- Nie będę, ale wcale nie dlatego - odpowiedziała. Wcale nie chodziło o to, że był brudny, czy spocony.

Richard należał do przeszłości, nic już do niego nie czuła, on jednak najwyraźniej nie chciał się z tym pogodzić. Musiało mu na niej wciąż bardzo zależeć, skoro przebył taki kawał świata, narażając się przy tym na olbrzymie trudy i niewygody. I to właśnie on, Richard, który podróżował jedynie pierwszą klasą i nocował w luksusowych hotelach!

To dla niej doprowadził się prawie do stanu zupełnego wyniszczenia i zapomniał o swoim wygodnictwie, tłukąc się całymi dniami po afrykańskich drogach, przez dżunglę, żeby tylko zobaczyć Saszę.

Na orzeźwienie przyniosła mu szklanekę mrożonej herbaty.

- Co za miejsce! - jęknął. - Myślałem, że nie przeżyję dzisiejszego dnia.

- Jak się tu dostałeś?

- Przyleciałem do Tamale, czy jak tam się nazywa to nędzne miasteczko, jakimś archaicznym samolocikiem. Bucks też nim leciał.

- Bucks? - Sasha już słyszała to nazwisko. Ależ oczywiście, Bucks był tym miliarderem i wizjonerem, założycielem GHO, o którym opowiadał jej Ross. Zupełnie nie mieściło jej się w głowie, że to ten człowiek, którego przed chwilą widziała. Był tak komiczny, że zupełnie nie pasował do jej wyobrażenia o miliarderze - filantropie.

- No więc, leciałem z tym wariatem - kontynuował Richard. - Nazywa się chyba Buckiey, ale podobno wszyscy nazywają go Bucks. Z tego Tamale nie miałem jak się tutaj dostać; samoloty tu nie latają, nie było gdzie wynająć samochodu, a autobus już odjechał. I wtedy pojawił się Bucks i zapytał, dokąd jadę; okazało się, że obaj jedziemy w to samo miejsce. To on załatwił tę koszmarną ciężarówkę. Myślałem, że duszę ze mnie wytrzęsie.

- No, ale jakoś żyjesz. - Sasha nie wykazywała szczególnego podziwu dla jego bohaterstwa. - Nie rozumiem tylko, po co to wszystko, po co tu przyjechałeś? - zapytała.

- Niepokoilem się o ciebie. - Richard starał się przybrać wyraz godności, co w jego obecnym oplakanyim stanie nie bardzo się udawało. - Czekałem, że wrócisz, ale ty nie wracałaś, no i...

- Dlaczego na mnie czekałeś? - Sasha nie bawiła się w sentymenty. - Przecież wiedziałeś, że do ciebie nie wrócę. Nasz związek był nieporozumieniem, rozstaliśmy się i koniec.

- Myślałem...

Sasha jednak nie zamierzała dyskutować z nim teraz o uczuciach, chociaż złościło ją, że pojawił się tu bez zaproszenia, nawet jej nie uprzedzając.

- Umieram z głodu - jęknął żałośnie. - Przez cały dzień nic nie jadłem oprócz bananów i orzeszków ziemnych.

W lodówce nie było wiele, musiał więc zadowolić się perliczką duszoną z warzywami.

- Wprawiasz mnie w dość kłopotliwą sytuację - stwierdziła Sasha. - Nie spodziewałam się twojego przyjazdu i nawet nie mam gdzie cię położyć.

- Co? Jadę do ciebie przez pół świata, a ty nawet nie masz dla mnie łóżka? - Richard był przerażony i zachowywał się jak rozkapryszone dziecko.

- Może nie zauważyłeś, ale to nie jest Hilton. Dzisiaj się prześpisz tu na kanapie, a jutro spróbuję cię ulokować w Domu Spokojnego Odpoczynku.

- Gdzie? - Wybałuszył oczy.

- W Domu Spokojnego Odpoczynku. - Sasha o mało nie parsknęła śmiechem. - To nie ja wymyśliłam, więc pretensje nie do mnie. Nie będziesz tam miał luksusów, ale łóżko się znajdzie, jest dość tanio, a jeśli nic nie nawali, to nawet będzie prąd.

Richard zrozumiał, że to nie żarty, i ze złością zerwał się z miejsca, ale reakcja Sashy osadziła go natychmiast.

- Swoje wielkopańskie wymagania możesz odłożyć na kiedy indziej - warknęła. - Teraz bądź cicho, bo obudzisz Vicky, a jak ci się nie podoba, to zawsze możesz jeszcze spać na dworze, tam gdzie węże i moskity.

Później, leżąc już w łóżku i rozważając całą sytuację, Sasha uznała, że wcale nie nastraja ona do śmiechu. Richard potrzebny był jej tutaj jak dziura w moście. Co właściwie miała z nim robić? Teraz z kolei przydałby jej się inny poradnik: Co robić z mężczyzną, który cię pragnie, a ty nie masz na to ochoty.

Rano wstąpił Ross, żeby zobaczyć się z Vicky, i przy okazji powiedział jej o przyjeździe Bucksa.

- Jeśli zobaczysz tu chudego, łysego faceta w workowatych szortach, szwendającego się w okolicy szpitala, to będzie właśnie on - powiedział, a Vicky oczy rozbliły z przejęcia.

- Nie wiedziałam, że ma przyjechać - zdziwiła się.

- Bucks zawsze pojawia się niespodziewanie.

- Przyjechał dziś w nocy ciężarówką. Myślałam, że miliarderzy podróżują własnymi odrzutowcami - zauważyła Sasha.

- Bucks nie da się zaszufładować - odpowiedział Ross. - Trzeba uważać, bo nie mieści się w żadnych ogólnie przyjętych kategoriach. On też ma odrzutowce, ale czasami woli podróżować miejscowymi środkami transportu; twierdzi, że w ten sposób ma kontakt z rzeczywistością.

Vicky zostawiła ich samych i poszła szykować się do pracy, lecz w tejże chwili do pokoju wkroczył owinięty ręcznikiem Richard. Wyglądał nawet dość pociągająco: szczupły, umięśniony, wysportowany. Sasha zerknęła na Rossa, żeby zobaczyć, jak zareaguje na pojawienie się

niespodziewanego gościa. W ułamku sekundy dostrzegła wyraz wściekłości, który błysnął w jego zwięzonych oczach, lecz już po chwili sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego, kiedy uważnym spojrzeniem taksował Richarda.

Sasha zastanowiła się przez moment, jakie korzyści mogłyby dla niej wyniknąć z tej nagle zaistniałej sytuacji. W jej konfrontacji z Rossem zmienił się układ sił. Czy obecność rywala mogła wywołać jego zazdrość? Nie upadła jeszcze tak nisko, żeby go prowokować, ale przecież to wszystko stało się bez jej udziału. Dlaczego nie miałyby wyniknąć z tego coś dobrego?

Przedstawiła sobie obu panów i zauważyła, że chociaż Richard był przystojny i męski, to jednak w porównaniu z Rossem, który był wyższy, wypadł blado i najwyraźniej czuł się niepewnie. Chyba jednak nie mógł wzbudzać zazdrości. Ross zachowywał kamienny wyraz twarzy.

- Richard niepokoił się o mnie - poinformowała Rossa, obserwując go przy tym uważnie. Wydawało się, że nic go to nie obchodzi, zauważyła jednak, że ręce, które miał skrzyżowane na piersiach, zacisnął w pięści.

- Sasha nie wracała tak długo, że zacząłem się o nią martwić - podjął Richard. - Pomyślałem więc, że wpadnę tu i zobaczę, co się z nią dzieje.

Zabawne, pomyślała Sasha, tak sobie przez pół świata „wpaść” do Obalabi.

- Martwić się o nią? - Ross uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Uważam, że najwyższy czas, bym zabrał ją do domu - oświadczył Richard zdecydowanie władcym tonem.

Sasha przygryzła wargi, lecz ku swojemu zdumieniu zauważyła, że Ross się uśmiecha.

- Naprawdę? - zapytał.

- Tak - odpowiedział Richard. - Najwyższa pora, żeby skończyła z tymi bzdurami i wracała.

- Obawiam się - odparł wolno Ross - że czeka pana spore rozczarowanie. Chyba nie za bardzo zna pan naszą Saszę.

Richard nastroszył się jak rozzłoszczony kogut.

- Znam ją znacznie dłużej, niż pan, doktorze! - wykrzyknął z pasją.

- No cóż... - zaczął Ross, po czym skłonił się i dodał:

- Życzę miłego pobytu.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, pozostawiając Richarda gotującego się z wściekłości.

- Masz romans z tym facetem? - napadł na Saszę, ale nie zamierzała udzielać mu w tej kwestii żadnych wyjaśnień.

W dość wrogiej atmosferze zjedli śniadanie, po czym Sasha wyekspediowała go do domu dla gości, sugerując zarazem, że najlepiej byłoby, gdyby jak najszybciej zabrał się z powrotem tam, skąd przyjechał.

Rozejrzawszy się po domku Vicky i pokoju Sashy, zapchanym pudełkami i stosami ubrań, Richard oświadczył z niesmakiem, że tylko ktoś niespełna rozumu może egzystować w takich warunkach.

Sasha jednak nigdy dotąd nie czuła się zdrowsza i tak pełna energii. Wiedziała, czego chce: rozwinąć swoje przedsięwzięcie i pomóc tutejszym ludziom.

Pragnęła też Rossa.

Richard zdecydowanie nie czuł się tu dobrze. Pokój, jaki dostał w Domu Spokojnego Odpoczynku, chyba go nie zachwyił, mimo że był wyposażony w wiatraczek i wiadro z wodą, mające zastąpić prysznic.

Byli właśnie, razem ze wszystkimi, na obiedzie u Christine i Sasha z niepokojem zerknęła na niego przez stół. Pił za dużo, mówił za dużo i za głośno, starając się wzbudzić współczucie obecnych. Ci jednak znacznie bardziej interesowali się opowieściami Bucksa, który był tu duszą towarzystwa. Ubrany dzisiaj w kolejne workowate spodnie i

kolorową kwiecistą koszulę, raczył wszystkich historiami o duchach, węzach i praktykach magicznych, wzbudzając u słuchaczy przerażenie i zachwyty.

Ross wyglądał na rozbawionego; obserwował Richarda, obserwował Saszę. Zupełnie nie przypominał jednak zazdrosnego kochanka. Sasha zaczynała się już gubić w tych wszystkich uczuciowych zawiłościach. Tak bardzo by chciała, żeby jej związek z Rossem był prosty i zrozumiały, żeby się kochali, razem bujali w obłokach i patrzyli na świat przez różowe okulary. Na razie jednak było do tego daleko.

Tymczasem Richard denerwował ją coraz bardziej. Pił, nie reagował na jej uwagi, żeby przestał, i wygadywał głupstwa.

Po kolejnym drinku wygłosił nawet pean na jej cześć. Wynikało z tego, że wszystkie nowoczesne kobiety potrzebują od mężczyzny tylko seksu i pieniędzy, wszystkie, prócz jego Sashy. Ona przynajmniej ma głowę na karku i wie, czego chce, jest utalentowana, mądra i niezależna. Sześć lat temu rozkręciła interes, który już wkrótce zaczął przynosić ogromne dochody.

- Potem jednak sprzedała wszystko - tu Richard zwiesił głowę jak dziecko, któremu zbiera się na płacz - i zerwała ze mną.

Teraz wszyscy go słuchali, a Sasha nie była w stanie go uciszyć. Z pijackim uporem ciągnął:

- Potrzebuję cię, Sasho, nie mogę bez ciebie żyć. Wracaj ze mną do Stanów.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Vicky i Jochen zaoferowali, że odwiozą go do Domu Spokojnego Odpoczynku. To oznaczało jednak, że ona będzie musiała wracać razem z Rossem i Buckssem, co też nie było najmiłą perspektywą.

W samochodzie Ross dość zjadliwie komentował wystąpienie Richarda, Bucks zaś powiedział jej prosto z mostu:

- Rzuć tego faceta, dziewczyno, to jakiś mazgaj. Jakkolwiek - uśmiechnął się do niej - przedstawił cię w bardzo dobrym świetle. Coś mi się wydaje, dziewczyno, że jesteś w moim typie.

- Dziękuję - odpowiedziała Sasha, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy. - Już dawno z nim zerwałam, tylko że on nie przyjmuje tego do wiadomości. Ma bardzo nieprzyjemny instynkt posiadacza.

- Nic się nie martw, długo tu nie wytrzyma - przepowiedział Bucks. - Za dwa dni już go nie będzie.

- Swoją drogą, mogłabyś mieć nad nim trochę litości i nie lokować go w domu gościnnym, gdzie sama wiesz, jakie są warunki - wtrącił się Ross.

- A ty, czy litowałeś się nade mną, kiedy tu przyjechałam? Kazałeś mi spać w samochodzie na stosie pudełek, bez wody do mycia... Nie przypominam sobie żadnego współczucia z twojej strony,

- Bo tobie nie potrzeba współczucia. No, powiedz sama, nie mam racji?

- Chyba rzeczywiście nie tego od ludzi oczekuję.

- A czego? - nie ustępował Ross.

- Szacunku, uznania dla moich osiągnięć, podziwu dla mojej inteligencji. - Sasha wzruszyła ramionami. - A zresztą, wszystko mi jedno, co ludzie o mnie pomyślą.

- Wspaniale - stwierdził siedzący z tyłu Bucks. - Naprawdę kobieta w moim typie. Ross, chłopie, może miałbyś u niej jakieś szanse? Ja jestem dla niej trochę za stary.

- Masz dopiero siedemdziesiąt dziewięć lat - odparł sucho Ross. - W połączeniu z twoim majątkiem to wcale nie jest dużo.

- A, o to chodzi. - Bucks zaśmiał się beztrąsko. - Zastanawiałem się, co te dzierlatki we mnie widzą.

- Raczej nie twoje nogi, Bucks. Odpowiedział mu kolejny wybuch śmiechu.

Kiedy przejeżdżali przez ciemne i uśpione Obalabi, w pewnej chwili dobiegły ich dźwięki muzyki. Mijali właśnie bar „Nie oglądaj się na żonę” i tu Bucks zapragnął wysiąść. Wrócić miał już na własną rękę.

Wysadzili go i pojechali dalej. Sasha nie mogła się nadziwić kondycji tego starego człowieka; Bucks sprawiał wrażenie, że nigdy się nie męczy.

- On dożyje setki i nawet tego nie poczuje - stwierdził Ross. - To twarda sztuka.

Rozmowa o Bucksie pozwalała im omijać sprawy bardziej osobiste i bolesne. Sasha wolała nie pamiętać o ich wspólnej miłosnej nocy, nie potrafiła jednak przestać pragnąć Rossa. Ostatnio znowu dużo o nim myślała. Czy coś miało się zmienić? Bucks sugerował przeciw Rossowi, żeby się nią zainteresował i dostrzegł, jaki to skarb.

Po kilku dniach spędzonych w Obalabi Richard doszedł wreszcie do przekonania, że jego misja była chybiona i że nic u Sashy nie wskóra. Tymczasem przemysł zamków błyskawicznych, którego był wschodzącą gwiazdą, zdecydowanie wymagał jego powrotu. Sasha może sobie dalej marnować życie, jeśli tak chce, on jednak nie będzie brał w tym udziału. Dość miał karaluchów i jaszczurek łązących po suficie w Domu Spokojnego Odpoczynku, gdzie wcale spokojnie nie odpoczywał. Tutejsze jedzenie też zdecydowanie mu nie odpowiadało, on miał ochotę na łososia i przyzwoity stek. Narzekał i marudził, a Sasha traciła już resztki cierpliwości.

- Jadę do domu - zdecydował wreszcie ku jej ogromnej uldze i spakował torbę.

Bucks także zbierał się do odjazdu. Przekonawszy się, że szpital w Obalabi funkcjonuje bez zarzutu, wybierał się z kolei

do Brazylii, gdzie w głębi Amazonii otwierali właśnie nowy szpital.

Żegnając się z Rossem, przypomniał mu jeszcze, żeby zajął się Sashą, i dodał:

- Chłopie, to najwyższy czas, żebyś wreszcie wybił sobie z głowy tę bezwartościową lalunię, która była twoją żoną. Było, minęło. Słyszałem zresztą, że właśnie wyszła za męża za jakiegoś bogatego Argentyńczyka.

Bucks zatrzasnął drzwiczki samochodu i jeszcze przez okno posłał Sashy całusa. Tym razem, zgodnie ze swoją pozycją, odjeżdżał mercedesem prowadzonym przez szofera.

Pomachała mu na pożegnanie i poszła w stronę domu. Ku jej zdziwieniu Ross podążył za nią.

- Kiedy Richard wyjeżdża? - zapytał bez ogródek.

- Za godzinę, jedzie autobusem do Wa.

- Uważam - powiedział powoli, wchodząc za nią do domu i zamykając drzwi - że powinnaś pojechać razem z nim i wyjść za niego za męża. Urodzisz mu dwójkę pięknych dzieci, a on zapewni ci spokojny, dostatni byt. Masz trzydzieści lat, trzeba zacząć już o tym myśleć.

- Idź do diabła! - odburknęła z wściekłością, ugodzona do żywego. Tak ją to zabolalo, że nie mogła się zdobyć na żadną kpiącą, dowcipną odpowiedź. Chętnie odpłaciłaby mu czymś, co też by go zraniło, lecz teraz czuła się zbyt zmęczona i pozbawiona energii.

Przeszła do kuchni, lecz Ross poszedł za nią.

- Nie rozumiem, czego jeszcze chcesz? - zapytał. - Ten facet przebył dla ciebie pół świata i wychwala cię pod niebiosa. Najwyraźniej dobrze mu się powodzi i niczego ci przy nim nie zabraknie...

Sasha czuła, że dłużej tego nie wytrzyma, że zaraz coś w niej pęknie, wybuchnie...

- I tak nic mi nie brakuje, nie potrzeba mi do tego żadnego Richarda! - wrzasnęła. - I sama mogę sobie zapewnić taki byt, jaki chcę! Nie żyjemy w dziewiętnastym stuleciu, Ross. I w ogóle nie wiem, po co to robisz - dodała już spokojniej.

- Możesz to potraktować jako przyjacielską radę - odpowiedział sucho. - On cię naprawdę kocha.

- I co z tego? Ja z nim już dawno skończyłam, a i przedtem to była absolutna pomyłka. Nie kocham go i nie ma o czym dalej rozmawiać! - Była tak wzburzona, że aż się trzęsła. - Kocham ciebie, Ross - dodała i miała wrażenie, że to nie ona wypowiedziała te słowa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ross zeszywniał, lecz w chwilę później roześmiał się zimno, bezlitośnie i odparł:

- Już to słyszałem.

Sasha nie zdawała sobie sprawy, że jest na tyle silna, żeby sprostać tej sytuacji. A jednak machnęła ręką niedbale i powiedziała:

- To nie były moje słowa; to nie ja, tylko ta, co czasami pomieszkuje w mojej skórze. Naprawdę denerwujące, muszę jej wytłumaczyć raz na zawsze, że kochanie ciebie to strata czasu.

Popatrzył na nią szyderczo i wycedził:

- Miłość... Co to jest? Trochę pożądania, pragnienie przygody i odmiany. Dla ciebie to jest głównie przygoda, prawda? No więc dziękuję, ja się na to nie piszę.

Tego już było za wiele. Krew odpłynęła jej z twarzy, straciła cały dotychczasowy fason.

- Ty draniu! - powiedziała przejmującym szeptem, a gorące łzy spływały jej po policzkach. - No więc, jeśli tak chcesz, to proszę bardzo! Zagrzeb się w tym swoim szpitalu, bądź sam do końca życia, odgrywaj Wspaniałego Białego Doktora i módl się, żeby żadna kobieta już nigdy nie weszła ci w drogę i nie zakłóciła spokoju. Jesteś tchórzem, wiesz o tym? Dlatego, że twoja żona cię zawiodła, rezygnujesz z nowego, głębszego uczucia. Boisz się naprawdę żyć, boisz się miłości i ryzyka, które się z nią wiąże! Chowasz się przed samym sobą i udajesz, że jesteś szczęśliwy. Ale nie jesteś, Ross! I wszyscy to widzą! - Sasha zaczerpnęła powietrza. - No więc, dopiąłeś swego. Wyjadę, ale nie dlatego, że chcę, bo mi się tu nie podoba. Wyjadę dlatego, bo nie zostawiłeś mi wyboru. Nie mam zamiaru wciąż narażać się na twoje... zniewagi. - Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Sasha była zwolenniczką czystych cięć i ostatecznych decyzji.

Następnego dnia wyprowadziła się od Vicky i przeniosła do obskurnego pokoiku w Domu Spokojnego Odpoczynku, który znajdował się poza terenem szpitala. Tu przynajmniej nie istniało ryzyko, że w ciągu dnia spotka Rossa. Nie mogła jeść, nie mogła spać; płakała i płakała, aż w końcu przyszło jej do głowy, że może umrzeć z odwodnienia.

Wciąż nie wyglądała najlepiej, kiedy niespodziewanie odwiedziła ją Danielle, wracająca właśnie z Markiem z Timbaktu, ożywionej i kwitnącej pustyni.

- Sasha, wyglądasz okropnie! - wykrzyknęła na jej widok.

Sasha odgarnęła włosy z twarzy i próbowała się uśmiechnąć. Zrobiła jednak tylko jakiś grymas.

- To przejdzie. Wystarczy mi rok i odzyskam dawną formę - powiedziała.

- Tak mi przykro - westchnęła Danielle, przysiadając na jej łóżku. - Myślałam, że między tobą a Rossem jakoś się ułoży. Tak bym chciała, żeby on znów był szczęśliwy.

- On nie jest mną zainteresowany.

- Podczas przyjęcia urodzinowego miałam wrażenie, że jest tobą zainteresowany, i to bardzo, wystarczyło tylko na was spojrzeć, jak tańczyliście.

- To musiał być skutek francuskiego wina. - Sasha próbowała się uśmiechnąć.

Uściskały się na pożegnanie i Sasha obiecała, że odwiedzi ich jeszcze po drodze do Akry.

Przygotowania do wyjazdu i załatwienie wszystkiego zajęło jej tylko kilka dni. Fatima była już w pełni przygotowana, by samodzielnie poprowadzić interes, i Sasha nie musiała mieć żadnych wyrzutów sumienia, że wyjeżdża. A jednak było jej bardzo żal, włożyła w to przedsięwzięcie wiele serca.

W przeddzień jej wyjazdu odwiedził ją Joe; podjechał samochodem prowadzonym przez szofera i natychmiast zgromadził wokół tłum gapiów. Wiedział już, że Sasha wyjeżdża, i zaproponował, że odwiezie ją do Akry. Widok jej pokoju wstrząsnął nim do tego stopnia, że na tę ostatnią noc zaprosił ją do swej luksusowej rezydencji i Sasha przyjęła zaproszenie.

Przyjechała do Obalabi zakurczonym dżipem, a wyjeżdżała w towarzystwie Joego luksusowym mercedesem. Nigdy jednak nie czuła się bardziej opuszczona.

Przez następne tygodnie nie przestawała myśleć o Rossie. Caroline powitała ją z radością i zaproponowała jej pracę w La Tres Chic Boutique Antique. Sasha zgodziła się, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Co dwa tygodnie przychodził do sklepu kolejny transport ubrań szytych w Obalabi i wysyłanych przez Dorangę.

Bardzo tęskniła za Obalabi, brak jej było kobiet na targu i szwaczek, Saamo i jej opowieści o rodzinie.

Któregoś dnia dostała list od Vicky, która pisała, że za nią tęskni. Ona i Jochen postanowili się pobrać i Vicky miała nadzieję, że Sasha wytłumaczy jakoś jej matce, iż nie jest to żadna tragedia i że Obalabi to mimo wszystko nie koniec świata. Pisała też, że do szpitala przybył nowy lekarz, Jay podjął się administracji szpitala, a Ross wyjechał. Wszyscy mu zazdrościli, otrzymał bowiem propozycję kierowania szpitalem na Karaibach. Miał tam prowadzić program szkoleniowy dla pielęgniarek i lekarzy przygotowujących się do pracy w innych szpitalach GHO w krajach rozwijających się.

Ta wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Tym sposobem wszelka łączność między nią a Rossem została zerwana. Nie mogła nawet myśleć o nim, wyobrażając go sobie w znanych miejscach i sytuacjach, bo już go tam nie

było. Wyjechał z Obalabi. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że w skrytości ducha wciąż żywiła nadzieję, iż Ross jednak wezwie ją tam z powrotem, zatęskni, zrozumie swój błąd i przekona się, jak trudno mu bez niej żyć.

Nie miało się tak stać.

Ross znakomicie umiał dać sobie radę bez niej.

Sasha po raz kolejny czytała list i oczy miała pełne łez.

Nawet we śnie nie mogła zaznać ulgi; Ross śnił jej się każdej nocy.

Kilka dni później zadzwoniła do niej Danielle, która przyjechała do Stanów na urlop i razem z Markiem zatrzymała się u teściów w Waszyngtonie.

- Zostaniemy tu do niedzieli - powiedziała - a potem lecimy na St. Barlow. Wydajemy tam przyjęcie z okazji naszej trzeciej rocznicy ślubu i na dwa tygodnie chciałabym cię tam do nas zaprosić.

- Na wyspę?

- Tak. Tam jest pięknie, i pamiętaj, że my uwielbiamy przyjmować gości.

To była wspaniała propozycja, wakacje na jednej z Wysp Karaibskich. Tylko że była to ta sama wyspa, na której przebywał Ross. Sasha podejrzewała, że zaproszenie Danielle mogło mieć z tym jakiś związek.

- Czy Ross wie o tym, że mnie tam zapraszasz?

- Nie. - Danielle westchnęła głęboko. - Może nie powinnam się w to mieszać, ale czuję, że on popełnił wielki błąd, pozwalając ci wyjechać z Obalabi. Znam Rossa od lat i teraz widzę, że coś jest mocno nie w porządku. No więc, zdecyduj sama, czy chcesz go znowu zobaczyć.

- Co on ci mówił? - Sasha była jak w gorączce, ręce jej drżały.

- Nic, przecież wiesz, że Ross nie jest skory do zwierzeń.

- Danielle roześmiała się.

Sasha biła się z myślami. Nie była pewna, czy chce rozdrapywać rany, czy raczej powinna dać im się zbliżnić. Spotkanie z Rossem po wielu tygodniach mogło sprawić, że potem jeszcze trudniej jej będzie zapomnieć. Ale mogło też być odwrotnie: zobaczy go teraz w zupełnie innej perspektywie, spotkanie z nim definitywnie wyleczy ją z tej miłości i przywróci jej spokój ducha. Postanowiła podjąć ryzyko.

- Przyjadę z radością - odpowiedziała.

Danielle czekała na nią na maleńkim lotnisku, gdzie przyjechała swoim maleńkim zielonym samochodzikiem, przypominającym zabawkę.

- Cieszę się, że tu jesteś - powitała Saszę ciepło.

Jechały wąską szosą nad brzegiem oceanu, a przez okna wpadał do samochodu miły, nadmorski powiew. Sasha była zachwycona, wyspa wyglądała jak raj. Szmaragdowe wzgórza porośnięte tropikalnym lasem, turkusowa woda i lazurowe niebo w niczym nie ustępowały wizji kreowanej przez plakaty biur podróży. Wszelkie ludzkie siedziby, ściany i ogrodzenia otoczone były bujną roślinnością, kwitnącymi krzewami, oszałamiającymi bogactwem kolorów. Stanowiło to uderzający kontrast z Obalabi, gdzie krajobraz był monotony, a roślinność uboga.

Danielle opowiadała o wyspie, o swoim malarstwie i o Rossie. Zdaje się, że życie tutaj przypadło mu do gustu. Kupił łódź i mały samolot, wydawał się jednak samotny.

- On zawsze wydaje się samotny - stwierdziła. - Tak bym chciała, żeby się znowu ożenił i miał dzieci. Ciągle mam nadzieję, że jednak się ze sobą dogadacie i coś z tego będzie.

- Nie sędzę, żeby miał ochotę na małżeństwo - powiedziała Sasha.

- Myślę, że on sobie to wmawia.

- Nie chciał mnie widzieć w Obalabi, więc dlaczego tutaj miałyby być inaczej?

- Nie wiem, Sasho - odparła Danielle z westchnieniem. - Po prostu mam takie przeczucia. Może się mylę i w rezultacie będziesz tylko miała do mnie żal.

- Tym się nie martw - uspokoiła ją Sasha. - Ty mnie tylko zaprosiłaś, a przyjazd tutaj był już wyłącznie moją decyzją.

Pokonały zakręt i ich oczom ukazał się kolejny sielankowy widok - mała zatoczka z białym piaskiem i kilkoma palmami rzucającymi głęboki cień. Po drugiej stronie drogi, na wzgórzach, znajdował się szpital. Zbudowany był na stoku, z widokiem na morze, jego biały masyw lśnił w słońcu.

- Pięknie tutaj - rzekła Sasha - ale dlaczego Ross się tu przeniósł? Nigdy nie wspominał, że ma zamiar wyjechać z Obalabi.

- Po tylu latach przyszedł czas na jakąś zmianę. Wspólnie z Bucksem zdecydował, że weźmie udział w programie kształcenia kadry medycznej do pracy w krajach Trzeciego Świata. Poza tym postanowili przenieść tu biura GHO. Przypuszczam, że za jakiś czas kierownictwo całej organizacji przejdzie w ręce Rossa. Bucks sprawia wrażenie niezniszczalnego, ale ma jednak blisko osiemdziesiąt lat.

- Ross przejmie po nim zarząd GHO?

- Koniec końców na pewno tak. Jego brat Jack przejął zarząd nad rodzinną fortuną w Nowym Jorku, a jest ich tylko dwóch.

- Zaraz, zaraz. - Sasha nie bardzo mogła się w tym połapać. - O co chodzi z tą rodzinną fortuną?

- Mówię o spółce należącej do ich rodziny, Buckley International. To olbrzymi biznes, obejmujący prawie wszystko, poczynając od biżuterii, na sprzęcie medycznym kończąc.

Sashy zaparło dech.

- Do czyjej rodziny to należy?
- Boże, to ty o niczym nie wiesz? - Danielle rzuciła jej zdumione spojrzenie.
- O czym nie wiem?
- Bucks jest dziadkiem Rossa. Ross nigdy ci o tym nie mówił?
- Nie.
- No tak, łatwość komunikowania się nie jest jego najmocniejszą stroną - uśmiechnęła się Danielle.
- Rzeczywiście. - Sasha powoli otrząsała się z szoku, w jaki wprowadziła ją ta wiadomość. - No dobrze, a gdzie w tych wszystkich rodzinnych poczynaniach mieści się GHO?
- Bucks nazywa to swoim oczkiem w głowie. Powiedział, że nauczył się robić pieniądze i chciał sprawdzić, czy umie je też wydawać. Bucks jest biznesmenem z krwi i kości, ale ma miękkie serce. GHO to wielkie, niezależne przedsięwzięcie, niedochodowa organizacja finansowana przez Buckley International.

Sasha w napięciu chłoneła każde słowo Danielle, która opowiedziała jej też o przeszłości rodzinnej Rossa. Żona Bucksa zmarła dziewięć lat temu, matka obu chłopców była ich jedyną córką, a Ross i Jake ich jedynymi wnukami. Po śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku, wychowywali ich dziadkowie.

Tymczasem ich oczom ukazał się Port Royal: różnokolorowe domy w pastelowych barwach, stylem nawiązujące do czasów kolonialnych.

Wyjechały ze stolicy, a droga nadal prowadziła wzdłuż wybrzeża i pięknych, czystych plaż ocienionych palmami. Minęły pola ananasowe i osiołka dźwigającego olbrzymie kiście bananów. Człowiek prowadzący osiołka pomachał im przyjaźnie, one też mu pomachały.

W końcu dojechały na miejsce. Danielle skręciła w alejkę prowadzącą do białej willi skrytej w krzewach kwitnącej bugenwilli.

- Przyjechałyśmy w samą porę - powiedziała wesoło. - Napijemy się drinka, a zaraz potem będzie obiad.

Wieczorem, analizując przeżycia minionego dnia, Sasha uznała, że wszystko tu jest jak w bajce - wspaniały obiad na werandzie z widokiem na morze i jej przytulny, biały pokoik. Wszystko byłoby doskonale, gdyby tylko każda myśl o Rossie nie przyprawiała jej o skurcze żołądka ze strachu.

Przyjęcie miało się odbyć pojutrze i Ross był tam oczekiwany. Jak zareaguje na jej widok?

Była kłębkim nerwów, czuła, że coś wisi w powietrzu, ale nie mogła ani tego przyspieszyć, ani umknąć.

Następnego dnia po południu Danielle zabrała ją na przejażdżkę po wyspie. Jechały wąskimi, krętymi drogami przez malownicze wioski, minęły stary kościółek katolicki Arka Miłości, wielkie plantacje bananów i orzechów kokosowych, pola ananasów i trzciny cukrowej. Od strony północnej wyspa miała wybrzeże dzikie i skaliste i tam wznosił się stary hiszpański fort. A morze wszędzie mieniło się najpiękniejszymi odcieniami błękitu i turkusowej zieleni.

- A teraz - powiedziała Danielle, kiedy parę godzin zwiedzania miały już za sobą - napijemy się herbaty na Plantacji. - Wyjaśniła, że Plantacja to najbardziej ekskluzywny zakątek Karaibów, azyl dla sławnych i bogatych. Przyjeżdżają tu gwiazdy Hollywoodu i koronowane głowy, żeby w ciszy i luksusie odpocząć trochę od zgiełku wielkiego świata.

Jechały wąską, krętą drogą i wkrótce wyłonił się przed nimi Dom na Plantacji - elegancki stary budynek, wzniesiony na skalistym brzegu, z widokiem na morze.

Zaparkowały samochód i ścieżką wśród kwitnących hibiskusów wdrapały się na górę, gdzie na dziedzińcu przed domem, każdego popołudnia można było napić się herbaty.

Sasha uznała, że jest to najpiękniejsze i najspokojniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek była.

Kelner w białych spodniach i kwiecistej koszuli z promiennym uśmiechem postawił przed nimi na stoliku dzbanek herbaty i półmisek pełen ciasteczek, gorących bułeczek i małych kanapek - rozkosz dla oczu i dla podniebienia.

Sasha leniwie rozparła się w fotelu, powoli sącząc wonną herbatę i podziwiając otoczenie - kwiaty, ptaki, dwie jaszczurki, goniące jedna drugą po kamieniach dziedzińca.

- Życie jest piękne - powiedziała z uśmiechem.

I wtedy zobaczyła Rossa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wchodził właśnie na dziedziniec, ubrany w biały strój do tenisa, i wymachiwał rakieta. Towarzyszyła mu ciemnowłosa kobieta, też w stroju tenisowym. Śmiali się. Stanowili piękną parę, oboje tryskający zdrowiem i dobrym humorem. Po wyczerpującej grze przyszli się czegoś napić.

Ross dobrze znanym Sashy gestem odgarnął włosy z czoła i rozejrzał się po dziedzińcu, szukając wolnego stolika.

I wtedy ją zobaczył.

Zdawało się, że czas nagle stanął w miejscu i wszystko zamarło. Ross patrzył na Saszę, ona na niego, nawet liść nie drgnął, nie dochodził żaden dźwięk. Wstrzymała oddech. Widziała tylko jego twarz, ciemne, płonące oczy i burza uczuć ogarnęła ją znowu z przerażającą siłą.

Miała nadzieję, że to szaleństwo, w które popadła w Obalabi, minęło i zbladło i że widok Rossa nie wzbudzi już w niej żadnych większych emocji.

Myliła się.

Ross ruszył w kierunku ich stolika. Sasha zaczerpnęła powietrza, mając uczucie, że tonie. Serce waliło jej jak oszalałe. Modliła się, żeby się nie wygłupić.

Uśmiechnęła się do Rossa, choć był to dla niej wysiłek, jakiego dotąd nie знаła. Drżała na całym ciele.

- Cześć, Ross - powitała go, z trudem słysząc własne słowa, tak głośno dudniło jej serce.

- Cześć, Sasho, cześć, Danielle - odpowiedział bardzo miło i uprzejmie. Tylko twarz miał znów nieprzeniknioną, bez wyrazu, jak w Obalabi.

Dokonano prezentacji. Ciemnowłosa kobieta miała na imię Simone i była Francuzką - bardzo elegancką, miłą, atrakcyjną. Włosy miała gęste i błyszczące, a oczy wielkie i brązowe. W skrzydełku nosa uwodzicielsko pobłyskiwał

malutki diamentowy kolczyk. Sasha znienawidziła ją od pierwszego wejrzenia.

Wymieniono jakieś uprzejmości, po czym tamci dwoje poszli znaleźć sobie własny stolik. Sasha patrzyła, jak odchodzą; Simone miała wspaniałą figurę i nogi, za którymi mężczyźni na pewno szaleli.

Danielle naląła jeszcze herbaty i wciąż paplała: o wyspie, o szpitalu, o ludziach. Do Sashy jednak prawie to nie docierało; piła herbatę i starała się nie patrzeć tam, gdzie siedzieli Ross i Simone.

- Kim jest ta kobieta? - zapytała.

- Simone? - Danielle uśmiechnęła się. - O, to hrabina, ma zamek we Francji, a teraz mieszka tu, na Plantacji.

A więc hrabina; Ross obraca się w wyższych sferach. Niby dlaczego nie? Jest dziedzicem wielkiej fortuny, ma do tego pełne prawo. Sashy wciąż jednak trudno było myśleć o nim jako o kimś bardzo bogatym. W myślach widziała go zawsze w ubogiej afrykańskiej scenerii, w tamtejszym szpitalu, ubranego w biały fartuch i pocieszającego chore dziecko. Jej ciało pamiętało jeszcze jego czuły miłosny dotyk.

Ten sam dotyk przeznaczony był teraz, najprawdopodobniej, dla francuskiej hrabiny.

Sasha popijała herbatę, ptaki śpiewały, lekki wietrzyk poruszał liśćmi palm, kwiaty pachniały słodko i oszałamiały bogactwem kolorów. Było przepięknie i sielankowo, a przy tym przeraźliwie smutno. Miała wrażenie, że nagle znalazła się w jakiejś dziwnej rzeczywistości, gdzie nic nie jest do końca prawdziwe; ani Ross, ani kobieta siedząca z nim przy stoliku, ani ona sama z tym strasznym bólem w sercu i łzami w oczach. Spodziewała się, że już za chwilę ocknie się w swoim łóżku, pogrążona w rozpaczy, na poduszce mokrej od łez.

- Jedz ciastko - przypomniała jej Danielle.

Zjadła ciastko, nie czując jego smaku, mówiła coś, nie bardzo wiedząc co, i z ulgą powitała propozycję Danielle, żeby już wracać.

Następnego wieczora o ósmej willę wypełnił tłum gości i Sasha z drzeniem serca oczekiwała pojawienia się Rossa wraz z jego francuską hrabiną. Przez cały dzień czuła się fatalnie.

Wreszcie pojawili się, a z nimi jeszcze kilkoro innych spóźnialskich. Hrabina, w długiej sukni, wyglądała olśniewająco. Śmiała się wdzięcznie i roztaczała wokół siebie zapach doskonałych perfum. Sasha chętnie rzuciłaby na nią jakiś urok, ale niestety, tej sztuki nie zdążyła jeszcze opanować.

Starła się nie patrzeć na Rossa, który też wyglądał wspaniale. Ubrany był w jasne spodnie i zielono - niebieską jedwabną koszulę w egzotyczny wzór. Wyglądał na wypoczętego i lekko rozbawionego, kiedy śledził to, co się tu działo.

Wyszła na werandę i oparła się o balustradę, popijając poncz. Morze było gładkie jak szkło; odbijał się w nim duży, bliski pełni księżyc. Był to obraz spokoju i harmonii, tylko że ona nic takiego w sobie nie czuła. Tuż obok w pokoju znajdował się Ross, a ona wciąż cierpiała z miłości do niego.

Czuła wielki ból, chciało jej się płakać i krzyczeć. Chciała wiedzieć na pewno, czy on kocha tę francuską hrabinę.

W ciągu tego wieczora prędzej czy później musiała się z nim zetknąć i nie wiedziała, jak się wtedy zachowa.

Nastąpiło to wkrótce.

Pojawił się tuż przy niej na werandzie, z drinkiem w ręku. Zanim go zobaczyła, już wiedziała, że tam jest, wyczuła to jakimś szóstym zmysłem i dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Cześć, Sasho - odezwał się.

- Cześć.

Ross badawczo wpatrywał się w jej twarz, księżyc oświetlał go teraz srebrnym blaskiem.

- Zdziwiłem się, widząc cię tu na wyspie - rzekł. Sasha odwróciła głowę, oblała ją fala gorąca i czuła, że się rumieni. Resztką sił zdołała się jednak opanować i odpowiedziała z uśmiechem:

- Astrolog przepowiedział mi podróż, a mój terapeuta doradzał zmianę środowiska, zaproszenie Danielle uznałam więc za znak i skorzystałam z okazji.

- Bardzo słusznie - odparł sucho. - No więc, co u ciebie słychać?

- W porządku, dziękuję. Interes się rozwija. - Jej głos brzmiał tak obco, jakby należał do innej osoby.

- Muszę przyznać, nie spodziewałem się, że ci się to uda.

- A jednak się udało.

- Tak.

- Byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że wyjechałeś z Obalabi. Vicky mi o tym napisała - powiedziała, patrząc w dół, na wodę.

- Był już czas na zmianę.

- Podoba ci się tutaj?

- Klimat tu lepszy i jest trochę urozmaicenia. Żeglarstwo zawsze było moją pasją, a poza tym kupiłem mały samolot, więc łatwiej mi się stąd wyrwać.

- Nie wiedziałam, że umiesz latać. - Tylu rzeczy jeszcze o nim nie wiedziała! - Nie wiedziałam też, że Bucks jest twoim dziadkiem.

Ross wzruszył ramionami.

- Wolę tego nie rozgłaszać. Po co ludzie mają kojarzyć mnie z tym, co posiadam? Lepiej, żeby sądzili mnie po tym, co robię.

To Sasha świetnie mogła zrozumieć. Ta rozmowa zdawała jej się jakaś nierealna; spokojna, uprzejma, normalna i

pozbawiona wrogości. Nawet jeżeli ten spokój był tylko pozorny.

- Jesteś teraz jakaś inna - zauważył Ross.

- To znaczy?

- Ani razu sobie ze mnie nie zakpiłaś i nie powiedziałaś mi nic przykrego.

- Ty też ani razu ze mnie nie zakpiłeś i nie powiedziałeś mi nic przykrego - odpowiedziała jak echo.

Ich oczy spotkały się i Ross powiedział z uśmiechem:

- Czy to już nie jest postęp?

- A jeśli jest, to co? Chyba... pójdę coś zjeść. - Sasha odwróciła się od barierki i weszła do środka, gdzie wspaniale zastawiony stół stanowił swoiste dzieło sztuki. Sasha ledwie jednak spróbowała jakiejś potrawy i odłożyła widelec; zupełnie nie mogła zmusić się do jedzenia. W końcu dała spokój i na chwiejnych nogach poszła do swojego pokoju.

Tam usiadła na brzegu łóżka i starała się uspokoić. Ręce jej się trzęsły, jeszcze nigdy dotąd nie czuła się tak okropnie. I to z powodu mężczyzny, który jej nie chciał. Co za upokorzenie! Nigdy tak nisko nie upadła.

Świat jest pełen mężczyzn i na pewno nie miałyby kłopotu ze znalezieniem sobie kogoś innego, problem jednak w tym, że ona nikogo innego nie chciała. Jej serce wbrew wszystkiemu wybrało tego zwariowanego doktora, który postanowił żyć w miejscach najbardziej odciętych od świata.

Wzięła się w garść, odetchnęła głęboko i wstała. Nie miała zamiaru siedzieć tu i litować się nad sobą, kiedy na dole trwało wspaniałe przyjęcie.

Wróciła więc do salonu i wmieszała się w tłum gości. Jadła, śmiała się, rozmawiała.

Wzniesiono toast na cześć szczęśliwej pary, potem rozpoczęły się tańce. Jakaś drobna blondynka poprosiła do tańca Rossa, tańczył też potem z Danielle i kilka razy z

olśniewającą hrabiną. Sasha obserwowała ich z boku i myślała o przyjęciu urodzinowym w Obalabi i o wszystkim, co wtedy nastąpiło; te wspomnienia wywołały w niej nową falę bólu.

Z nią Ross nie zatańczył ani razu, a o północy pożegnał się i wyszedł razem z hrabiną i grupą innych gości. Przyjęcie skończyło się o drugiej i Sasha poczuła, że jest zupełnie wykończona; napięcie, w którym trwała przez cały czas, teraz dawało o sobie znać.

Następnego dnia Mark i Danielle zabrali ją na łódkę, nie towarzyszył im Ross i mała była szansa, że na morzu go spotkają, Sasha mogła więc trochę odpocząć.

Wieczorem zaproszeni byli na kolację do posiadłości nad Zatoką Cynamonową, należącej do Davida Keatinga, plantatora gałki muszkatołowej, i do jego żony Fiony. Oprócz gałki uprawiali też cynamon i owoce tropikalne.

Ross też się tam zjawił, tym razem na szczęście bez hrabiny. Patrzył na Saszę przez stół, ona patrzyła na niego. Wszystko leciało jej z rąk, dwa razy upuściła widelec i o mało nie wylała wina. Przy kawie, kiedy przeszli do salonu, zaczął z nią rozmawiać; uprzejmie, miło, jakby była kimś nieznanym i nie chciał jej urazić. To była jakaś dziwna metamorfoza.

Kiedy po kolacji znalazła się wreszcie w domu, miała wrażenie, że głowa pęka jej z bólu.

Na myśl o tym, że ma tu spędzić jeszcze prawie dwa tygodnie, skóra jej cierpła i robiło się słabo. Komu innemu dwa tygodnie na Karaibach wydawałyby się rajem, ale dla niej to było piekło. Każde spotkanie z Rossem było bolesne, on miał swoją Simone, nią się nie interesował. Nie widziała powodu, żeby przedłużać te tortury. Musiała stąd wyjechać.

Kiedy następnego dnia rano zakomunikowała o tym Danielle, ta nie była tym zachwycona.

- Chcesz wyjechać z powodu Rossa?

- Tak. Miałam nadzieję, że już się z niego wyleczyłam.
- A jednak nie.
- Nie, a ponieważ nie jestem masochistką, więc jedyne, co mogę teraz zrobić, to wyjechać.
- Jesteś tu dopiero kilka dni. Poczekaj trochę; a teraz chodź, chcę ci coś pokazać.

Danielle zaprowadziła ją do swej pracowni malarskiej, wielkiego, zalanego światłem pokoju. Właśnie skończyła swój ostatni obraz, śmiały w kolorze i pulsujący życiem, przedstawiający bujną tutejszą roślinność, prześwietlone słońcem liście i egzotyczne owady.

Pozostałe płótna stały oparte o ściany, niektóre jeszcze nie skończone. Jeden z nich przyciągnął uwagę Sashy i serce zabiło jej na ten widok. To był jej kapelusz!

Danielle też popatrzyła na obraz.

- Tak, to twój kapelusz. Pamiętasz? Kiedyś zostawiłaś go u nas w drodze do Obalabi i jakoś ciągle nie miałam okazji, żeby ci go oddać, albo zapomniałam.

- No i namalowałaś go - podsumowała Sasha. Kapelusz wypełniał prawie całe płótno, jego ozdoby wibrowały kolorami - szkarłatna różyczka, pióra, złociste wstążki. I tylko w lewym dolnym rogu kosmyk rudych włosów. Twarzy na obrazie nie było, tylko kapelusz i te rude włosy.

- Ten kapelusz to dzieło sztuki. - Danielle powtórzyła jej własne słowa i Sasha popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Ross mi to zacytował. - Artystka wybuchnęła śmiechem.

- Ross? On uważał, że ten kapelusz jest okropny.

- To on kupuje ten obraz. Sasha myślała, że się przesłyszała.

- Ross kupuje ten obraz?

- Tak, właśnie dlatego go tu postawiłam. Jeszcze parę ostatnich pociągnięć pędzla i będzie gotowy. - Danielle

podeszła do szafy, wyjęła stamtąd prawdziwy kapelusz i podała Sashy.

- Najwyższy czas, żebyś dostała go z powrotem - rzekła.
- Przepraszam, że tak długo to trwało.

Sasha wciąż jeszcze stała oszołomiona, cała ta historia nie mieściła jej się w głowie. Doskonale pamiętała szydercze pytanie Rossa: „Skąd wytrzasnęłaś ten koszmary kapelusz?” A teraz chciał kupić obraz przedstawiający ten sam koszmary kapelusz. Jeszcze raz spojrzała na obraz i coś zwróciło jej uwagę. Nad różyczką przy kapeluszu unosił się maleńki, kolorowy koliberek. To był już wkład własny artystki.

Bez względu na wszystko Sasha trwała w postanowieniu opuszczenia wyspy. W końcu fakt, że Ross chciał kupić ten obraz, o niczym jeszcze nie świadczył.

Zabrała się do pakowania ubrań. Dopiero kilka dni temu je rozpakowała. Nie powinna była tu w ogóle przyjeżdżać.

W duchu robiła sobie z tego powodu wyrzuty, jednocześnie starannie składając ubrania, kiedy usłyszała kroki w korytarzu i ktoś zapukał do jej drzwi.

- Proszę - odpowiedziała odruchowo.

- Dzień dobry, Sasho. - W otwartych drzwiach jej pokoju stał Ross, a w niej serce podskoczyło z przejęcia.

- Danielle powiedziała mi, że cię tu zastanę - wyjaśnił, obrzucając spojrzeniem pokój, otwartą walizkę i poskładane ubrania. - Myślałem, że przyjechałaś na dwa tygodnie.

- Zmieniłam zdanie.

- Przyszedłem zaprosić cię na kolację dziś wieczorem. Sasha znieruchomiała nad stosem ubrań w różnych tonach turkus, błękitu i zieleni, złota i bursztynu.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytał.
- Jutro o dziesiątej rano.

- W takim razie możesz przyjąć moje zaproszenie na dziś wieczór.

Tak, mogła. Jeszcze nigdy nigdzie jej nie zapraszał. Bywali razem na przyjęciach, spędzili razem noc, ale teraz to było co innego.

- Twojej francuskiej hrabinie może się to nie spodobać - rzekła.

- Nie przypuszczam, żeby ją to bardzo obeszło. - Ross uniósł brwi. - Gordon może chwilowo nie być zdolny do tańca czy gry w tenisa, ale z pewnością może ją zabrać na kolację.

Gordon. Kim był ten Gordon? Za żadne skarby nie zapytałaby o to Rossa.

Zostawiła go na chwilę samego, tłumacząc się, że musi coś przynieść, i pobiegła poszukać Danielle.

- Kto to jest Gordon? - zapytała jednym tchem, kiedy tylko znalazła ją w pracowni.

- Mąż Simone - odpowiedziała Danielle ze zdziwieniem.

- Dlaczego on nie może tańczyć ani grać w tenisa?

- Bo skreślił nogę w kostce. Sasha, przecież ci go przedstawiałam.

- Ach, tak, rzeczywiście, ten Anglik. Jakoś nie skojarzyłam sobie, że to jej mąż. Dotarło do mnie tylko to, że Ross z nią grał w tenisa i tańczył. O Boże, ale mi teraz głupio.

- Sasha - powiedziała Danielle poważnie. - Ty go kochasz. Nie jestem przecież ani głupia, ani ślepa. Widziałam, jak reagujesz na jego widok. Między nim i Simone nic nie ma, możesz mi wierzyć. - Patrzyła Sashy prosto w oczy

- Taka szkoda, że chcesz wyjechać.

- Muszę do niego wracać. - Sasha przygryzła wargi.

Zastała go z tym okropnym kapeluszem w rękach.

- Ten kapelusz to prawdziwe dzieło sztuki - powiedział.

Spotkali się wzrokiem.

- Danielle namalowała taki obraz - powiedziała Sasha z trudem.

- Tak. - Ross nadal patrzył jej w oczy.

- Wspominała, że chcesz go kupić.
 - Tak.
 - Mówiłeś przecież, że ten kapelusz jest okropny.
 - Zmieniłem zdanie.
 - Dlaczego kupujesz ten obraz? - wychrypiała Sasha, której nagle zaschło w gardle.
 - Bo przypomina mi ciebie.
- Sasha spuściła wzrok i starannie, powoli zaczęła składać naszykowaną do zapakowania bluzkę. Myśli tłukły jej się po głowie, serce waliło jak młotem.
- Nie odpowiedziałas jeszcze na moje pytanie - rzekł Ross cicho i spokojnie. - Wybierzesz się ze mną na kolację dziś wieczorem?
 - Tak - padła krótka odpowiedź.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sasha zaczesesała włosy na jedną stronę i wpięła w nie piękny stary grzebień, który razem z innymi starymi rzeczami kupiła kiedyś na aukcji.

Spojrzała w lustro; szmaragdowy odcień jej bluzki podkreślał jeszcze zieleń oczu. Do tego miała na sobie długą, rozkloszowaną spódnicę w tej samej tonacji, w egzotyczny wzór przedstawiający ptaki tropikalne. Ross zamierzał zabrać ją na Plantację, gdzie bywali wielcy tego świata, zastanawiała się więc, czy jej strój nie będzie zbyt skromny. Uznała jednak, że wszyscy przyjeżdżają tu na wypoczynek, a nie po to, żeby się pokazać czy też popisać strojami najświetniejszych światowych projektantów.

Nadal przyglądała się sobie w lustrze. Nawet teraz widać było, że jest zdenerwowana. To nie było takie sobie zwykłe zaproszenie. Już na samą myśl o wspólnej kolacji Sasha czuła, że serce jej przyspiesza i krew krąży szybciej. Ten wieczór miał być znaczącym momentem w jej życiu.

Ross przyjechał po nią takim samym małym samochodzikiem, jakim jeździła Danielle, tylko białym. Popatrzył na Saszę z nie ukrywanym podziwem.

- Pięknie wyglądasz - powiedział.

Sasha podziękowała za komplement i chociaż nie był on szczególnie wyszukany, to wypowiedziany przez Rossa brzmiał dla niej jak najpiękniejsza muzyka.

- Przepraszam za ten skromny środek lokomocji - oświadczył od razu.

- Nie masz za co przepraszać, bardzo mi się podobają zabawkowe samochodziki. Gdybym tu mieszkała, też bym sobie taki sprawiła. Pomalowałabym go na zielono, niebiesko i turkusowo i może dodałabym jeszcze z boku ze dwie palmy.

Ross roześmiał się, otworzył przed nią drzwi auta.

Rozmowa podczas jazdy była uprzejma i trochę sztywna, Sasha miała się na baczności, nie była bowiem przyzwyczajona do żadnej kurtuazji ze strony Rossa. Kiedy jednak usiedli przy stoliku na Plantacji, poczuła, że się rozluźnia. Stoliki były pięknie nakryte, a salę jadalną, a raczej taras pod dachem, otaczały wspaniałe kwitnące krzewy. Srebrne nakrycia i kryształowe kieliszki odbijały ciepły blask stojącej na stoliku świecy.

- Jak tu cudownie - powiedziała. - Dziwnie się czuję w tym luksusie.

Ross uśmiechnął się z rozbawieniem i spojrzał na nią tak ciepło, że jej serce, dotąd zmartwiałe z niepokoju, zaczęło się uspokajać.

- Zresztą odrobina luksusu od czasu do czasu dobrze robi na stan duszy - dodała beztrąsko. - Zamierzam mieć z tego jak najwięcej frajdy.

- No to świetnie - odparł Ross. - Zajrzyj do menu i zobacz, czy znajdziesz tam coś, na co miałabyś ochotę.

Menu stanowiło bogaty zestaw rozmaitych dań zarówno lokalnych, jak i należących do kuchni różnych krajów. Był więc tam zółwi stek, opiekana ryba papuzia, wędzona ryba latająca, kurczę w sosie imbirowym, kilka potraw z curry, świeżo złowiona langusta oraz callaloo - ostra potrawka, specjalność karaibska. Po dłuższym namyśle Sasha zdecydowała się na to ostatnie.

Ross zapytał o jej pracę i opowiedziała mu o swoim nowym pomysle. Nosiła się z zamiarem otwarcia nowego butik, który sprzedawałby ubrania, biżuterię, inne wytwory sztuki ludowej i rzemiosła różnych dalekich krajów. Chodziło jej przy tym o rzeczy naprawdę wartościowe, nie popularną wszędzie tandetę dla turystów. Teraz było to jeszcze w sferze projektów, przewidywała jednak, że w związku z tym będzie musiała wiele podróżować, na co już się cieszyła. Opowiadała

o tym z dużym przejęciem i dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, że mówi tylko ona, a Ross od dłuższej chwili się nie odezwał. Zamilkła i wsłuchiwała się w śpiew ptaka, siedzącego w krzaku hibiskusa.

- Nie przypuszczam, żebyś kiedykolwiek czuła się znudzona - zauważył Ross.

Sasha rozpostarła ramiona, jakby chciała objąć cały świat

- Świat jest wielkim placem zabaw - rzekła. - Można się wspinać, huśtać, zjeżdżać, kręcić i zwieszać. Nie wyobrażam sobie, jak można się tu nudzić.

Ich oczy spotkały się i Ross powiedział:

- Zdarza się jednak, że nabijesz sobie guza, podrapiesz się czy złamiesz nogę. I jeśli jesteś tchórzem, to wolisz więcej nie ryzykować - siadasz z boku na ławeczce i przyglądasz się innym.

Serce Sashy zabiło szybciej. Była inteligentna i natychmiast zrozumiała, że Ross mówi o sobie, swym nieudanym małżeństwie i lęku przed nową miłością.

- Pewne obrażenia są bardziej dotkliwe niż inne - odpowiedziała lekko. - Jasne, że jeżeli od stóp do głów zakuty jesteś w gips, to przez pewien czas nie będziesz się wspinał na drabinki.

- Podobają mi się te twoje metafory. - Ross uśmiechnął się blado. - Co powiedziałaś teraz na jakiś deser?

Zjedli pyszny krem z mango, na koniec była kawa i likier imbirowy, a potem Ross odwiózł Sashę do domu Penbrooke'ów. Było jeszcze wcześniej, więc zaproponował, że zjedzą na plażę, która rozciągała się tuż za domem i w tym miejscu stanowiła prywatną własność Marka i Danielle.

Sasha zdjęła sandaalki na wysokich obcasach, na plażę prowadziły bowiem strome kamienne stopnie. Ross wziął ją za rękę i sprowadził na dół, na piasek. Sam dotyk jego dłoni,

ciepły i mocny, wywoływał w jej ciele przedziwne sensacje, serce znowu biło szybciej, w głowie wirowało.

- Czy w tej pięknej spódnicy możesz usiąść na piasku? - zapytał.

Odpowiedziała, że tak. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na fale i wsłuchując się w głos cykad dochodzący z zarośli.

- Wtedy, w Obalabi, powiedziałem ci różne straszne rzeczy - odezwał się w końcu Ross.

- Nie pamiętam - odpowiedziała Sasha, czując, że nadszedł moment ważnej rozmowy.

- Owszem, pamiętasz.

- Wyrzucam z pamięci rzeczy nieprzyjemne, tak jest łatwiej zachować spokój i pogodę ducha.

„Rzeczy nieprzyjemne” - żeby tylko! Upokorzył ją przecież śmiertelnie, jej wyznanie miłości zbył zimno i lekceważąco.

Znowu zapadła cisza. Sasha patrzyła, jak małe fale rozbijają się na piasku. Na horyzoncie widać było światełko, płynął duży jacht.

- Powiedziałaś mi wtedy, że mnie kochasz - rzekł wreszcie Ross.

- To nie ja powiedziałam. - Serce Sashy zmartwiało. - To była jakaś inna osoba, czasami wstępująca w moje ciało.

- Tak, mówiłaś to, pamiętam. I co się z nią stało?

- Z kim?

- Z tą drugą, mieszkającą w twoim ciele.

Jest wciąż tutaj, to po prostu część mnie. Tego jednak Sasha nie powiedziała na głos. Była odważna i wielkoduszna, jednak ten mężczyzna podeptał jej dumę i zranił serce.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Może wstąpiła do klasztoru albo pojechała na Borneo studiować tamtejsze zwyczaje. W każdym razie zniknęła.

Było cicho, tylko morze szumiało.

- Jak sądzisz, czy jest szansa, żebym znów się z nią spotkał?

- Po co?

- Potraktowałem ją bardzo źle, zachowałem się okrutnie. Chciałbym to jakoś naprawić.

- Powiem jej o tym, jeśli wróci - odparła Sasha, z trudem łapiąc oddech. Zdawało jej się, że śni, i bała się, że zaraz sen się skończy.

A jednak trwał nadal. Ross przyciągnął ją do siebie i otoczył ramieniem. Jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy, zaglądał jej w oczy. Potem delikatnie, leciutko musnął wargami jej usta. Łagodny morski wietrzyk rozwiewał włosy Sashy i chłodził rozpalone policzki. Powietrze przesycone było słodką wonią kwitnących krzewów. Sasha miała wrażenie, że jest postacią z bajki i całuje ją piękny król. Jego pocałunek nabierał mocy, stawał się coraz bardziej spragniony i namiętny. Nie potrafiła się temu oprzeć. Objęła go i przyciągnęła bliżej. Czuła się, jakby ogarniał ją potężny ogień, jej ciało i dusza znów budziły się do życia.

Wiedziała, że jest to jedyny mężczyzna, którego naprawdę pragnie, a każde jego dotknięcie wydobywa z niej wspaniałą melodię miłości.

Kocham go, pomyślała.

Wyczuwała w nim napięcie, słyszała głośnie, przyspieszone bicie jego serca.

- Nie wyjeżdżaj - powiedział z głośnym westchnieniem. Otaczała ich noc pełna tajemniczych cieni. Sasha nie była pewna, czy dobrze usłyszała. „Nie wyjeżdżaj” - co za ironia, całymi miesiącami w Obalabi starał się prowokować ją do wyjazdu, a teraz prosił o coś wręcz przeciwnego. Właściwie nawet nie prosił, nakazywał. I to był cały Ross.

Sasha przymknęła oczy, myślała, że to, co zdarzyło się w Obalabi, to była jakaś inna epoka, inne życie.

Przecucie, że ten wieczór miał stanowić ważny moment w jej życiu, sprawdziło się.

Otworzyła oczy i popatrzyła na gwiazdy.

- Dobrze - rzekła. - Nie wyjadę.

W ułamku sekundy przyciągnął ją do siebie i zaczął całować gorąco i zachłannie, jakby całe nagromadzone pragnienie, oczekiwanie i niepewność teraz dopiero znalazły upust. Całowali się do utraty tchu.

Na chwilę oderwali się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś mi coś o czekoladowych truflach z orzechami? - zapytał dziwnie stłumionym głosem. - Ze jeśli dobrze poszukać, wszędzie można je znaleźć?

- Tak - wyszeptała, przytulona do jego ramienia.

- Zabrało mi wiele czasu, zanim zrozumiałem do końca, co chciałaś przez to powiedzieć. Długo potrwało, zanim pojąłem, że jestem wypalony i martwy wewnątrz i podtrzymuję ten stan z własnego wyboru. Bałem się szukać czekoladowych truflif. Kiedy przyjechałaś do Obalabi, znajdowałem się w stanie jakiegoś uczuciowego letargu. Ty mnie z niego wyrwałaś i to mnie przeraziło. Wcale nie chciałem się budzić, nie chciałem czuć, wcale nie tęskniłem za tą czekoladą z orzechami, za słodyczą miłości. Walczyłem z uczuciem ze wszystkich sił. - Ross popatrzył jej w oczy. - To dlatego powiedziałem ci wtedy te wszystkie okropności; chciałem zranić cię tak mocno, żebyś wyjechała i zostawiła mnie samego.

- No i wyjechałam.

- Moje małżeństwo było katastrofą i nie jest to doświadczenie, które chciałoby się przeżyć powtórnie. Nowa

miłość oznaczała dla mnie nowe ryzyko - mówił powoli, z wyraźnym trudem. - Miałem nadzieję, że po twoim wyjeździe znowu wezmę się w garść i wszystko będzie jak dawniej. Przez jakiś czas wydawało mi się, że tak się stało.

- A co było potem?

- Zobaczyłem cię na Plantacji, jak piłaś herbatę. - Ross na chwilę zamknął oczy. - Wtedy jakby pękły lody i przebudziłem się na dobre. Zrozumiałem, że nie jestem w stanie dłużej tak żyć, oszukując samego siebie. Uświadomiłem sobie, że jesteś największym darem, jaki otrzymałem od życia, a ja sam go odtrąciłem.

Sasha milczała, lecz ogarnęło ją wielkie wzruszenie. Ross wyciągnął rękę i gładził jej włosy, a potem ujął jej twarz w obie dłonie i zbliżył do swojej.

- Kocham cię - powiedział cicho. - Jesteś silna, mądra i piękna, i nie umiem już bez ciebie żyć. Chcę wspiać się z tobą na najwyższą drabinkę na tym wielkim placu zabaw, trzymać cię za rękę i jeść z tobą czekoladowe trufle.

Łzy napłynęły jej do oczu, zdołała się jednak uśmiechnąć.

- To chyba będzie dość tuczące - powiedziała. - Ale podoba mi się.

Widać było, że napięcie zaczynało go opuszczać.

- Czy wyjdiesz za mnie? - zapytał.

Na to pytanie Sasha nie była przygotowana. Serce na chwilę stanęło jej w piersi, nie mogła złapać tchu.

- Co? - wyszeptała.

- Słyszałaś. - Ross przytulił ją do siebie. - Dziewczyno, czekam na krótką odpowiedź, wystarczy zwykłe „tak”.

- Tak - odpowiedziała posłusznie i powtórzyła na wypadek, gdyby nie usłyszał: - Tak.

- I zamieszkasze ze mną na St. Barlow?

- Czy cokolwiek innego wchodzi w ogóle w rachubę?

- Pamiętaj, że to jest mała wysepka, nie ma tu wiele do roboty.

- Coś sobie wymyślę. - Sasha popatrzyła mu w twarz. - Nauczę się latać samolotem. Zacznę nową działalność, stworzę miejsca pracy, poprawię stan gospodarczy wyspy, doprowadzę ją do rozkwitu. Mam mówić dalej?

- Mogłem się tego spodziewać - powiedział wesoło Ross.
- Ciebie nikt i nic nie powstrzyma.

- Nawet nie próbuj - uśmiechnęła się Sasha i uściskała go mocno, z sercem przepełnionym miłością.